

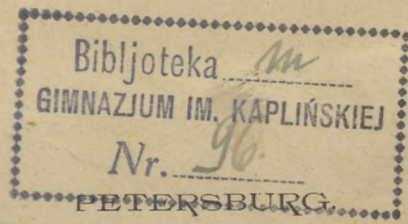
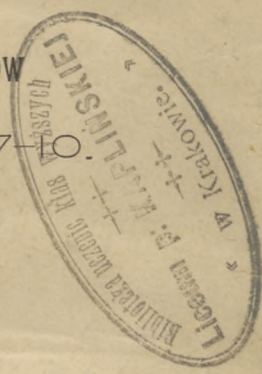
II 1. 049. 109

CECYLIA NIEWIADOMSKA.

NOWA GWIAZDKA

ZBIÓR POWIASTEK i WIERSZYKÓW
DLA DZIECI OD LAT 7-10.

Z rysunkami
T. JAROSZYŃSKIEGO.



NAKŁADEM KSIĘGARNI K. GRENDSZYŃSKIEGO
Druk Piotra Laskatera i S-ki. Warszawa.

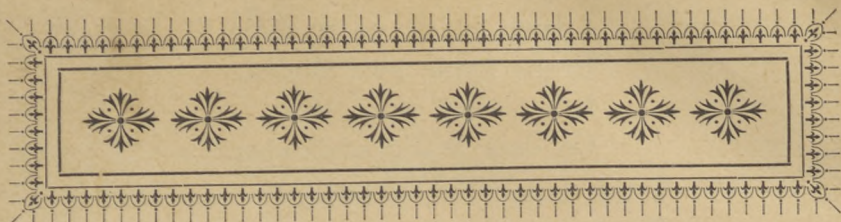
1903

Дозволено Цензурою.
Варшава, 15 Февраля 1902 г.



II 1.049.109

1979 K 1643/30



W noc Bożego Narodzenia.



Noc grudniowa, śnieżycą —
Wiatr z północnej dmie strony,
Tylko światło księżyca
Przez chmur pada zasłony.

Wyją wilki po lesie,
Drży bór głuchy, sosnowy,
A wichura w dal niesie
Grozę nocy zimowej.

W tę noc ciemną i groźną,
Która lodem krew ścina,
Drogą śnieżną i mroźną
Idzie mała dziecina.

Dziwny blask jej u czoła
Promieniście się żarzy,
Choć bez skrzydeł anioła,
Wdzięk anielski ma w twarzy.

I podnosi rączęta
Ponad jasne swe czoło,
Błogosławiąc zwierzęta,
Bór zapadły i sioło.

I tych ludzi, co w siole
Pracą życie swe słodzą,
I te dzieci przy stole,
Co dziś Wilię obchodzą.

I tak kojąc ból, smutki,
Z jasną gwiazdką nad głową,
Chodzi Jezus malutki
W tę noc śnieżną, grudniową...

Wł. Betza.



Choinka.



Rośnij sobie, rośnij,
Choinko zielona,
Nim nadejdzie zima,
Śniegiem ubielona.

W mroźny dzień zimowy	Na twoich gałązkach,
Zetną ciebie drwale,	Nawiesza łakoci,
Nasza droga mama	Jabłuszek, cukierków,
Ustroi wspaniale.	Szyszki tve ozłoci.

Gdy w płonących stoczkach
Zajaśniejesz cała,
Jak cudowne dziecko
Będziesz wyglądała.

Część łakoci damy
Dziatwie, co ich nie ma,
Rośnij sobie, rośnij,
Nim nadejdzie zima.

Or-Ot.



Śnieżek.



Śnieżku, mój śnieżku,
Skądże ty lecisz?
Czy od słońeczka,
Że się tak świecisz?

Czy z pod niebiosów,
Od Stwórcy Pana
Twe płatki jasne
Lecą od rana?

Skąd się tam bierzesz
W górze wysoko?
Skąd się tak sypiesz,
Nie dojrzy oko!

Czyżby cię w górze
Niebios anieli
W swe własne białe
Szaty odzieli?

M. J. Keller.



Gwiazdka.

☩

Dlaczego, Zosiu, dzień ten nazywa się gwiazdką, kiedy się powinien nazywać choinką? — mówił mały Boles do starszej siostrzyczki.

— Bo na choince jest gwiazdka — wtrąciła się Andzia.

— Widzisz, jaka złota, błyszcząca.

— Wcale nie dlatego — poprawiła Zosia — tylko, że pierwsza gwiazdka, która się na niebie ukaże, to ta sama, co świeciła nad stajenką, w której się urodził Chrystus, żeby uczynić wszystkich ludzi szczęśliwymi.

— Ach, jak to dobrze — zawołała Andzia — że Pan Jezus się urodził, bo przez to mamy co rok choinkę, pierniki, jabłka, tyle prezentów! Ja się bardzo cieszę i bardzo za to kocham malutkiego Pana Jezusa.

Zosia się rozśmiała.

— Pan Jezus coś innego dał ludziom, niż pierniki i jabłka — rzekła — bo kazał im się wszystkim kochać i pomagać sobie nawzajem. Gdyby go ludzie słuchali, toby dobrze było na świecie: niktby drugiemu nie dokuczał i wszyscy byliby szczęśliwi.

— Ach, toby dobrze było — westchnął Boles, któremu starsze rodzeństwo niezawsze ustępowało.

— Tobie i teraz dobrze — rzekła z uśmiechem Zosia — ale gwiazdka już niezadługo zaświeci, więc się spieszymy, żeby ubrać tę choinkę, nim przyjdą nasi goście.

I wesoło pospieszyli do roboty.

Na małym stoliku, nakrytym serwetą, ustawiono drzewko, przybrane złotymi i srebrnymi papierkami, i dzieci na wyścigi zaczęły zawieszać na niem jabłka, orzechy, pierniki, cukierki, które kupiły za własne pieniądze, uzbierane przez rok cały do skarbonki z napisem: „Gwiazdka dla biednych dzieci”. Wczoraj ją otworzyły i kupiły drzewko, śliczne przysmaczki i smaczne owoce, a dziś strojąc choinkę, cieszyły się myślą, co to będzie za radość zaproszonych.

Ze świeczkami było najwięcej kłopotu, bo lichtarzyki nie chciały się trzymać, ale Zosia i na to jakoś poradziła. Potem poukładano pod choinką podarunki: zabawki, niewszystkie nowe, lecz starannie naprawione, obrazki powklejane do kajetów, kilka książeczek, dwie nowe czapeczki, ciepłe sukienki, — stół zaczął wyglądać wspaniale, a dzieci dokładały jeszcze coś co chwila, żeby mało nie było.

Skończono wszystko, zanim na pogodnem niebie ukazała się pierwsza gwiazdka i dzieci spoglądały na stół z radością.

A w tem za drzwiami rozległ się śpiew znany:

„W żłobie leży, któż pobieży
Kolędować Małemu”...

Zosia, Andzia, Boles i Kazio natychmiast pobiegli do drzwi i do pokoju weszła gromadka śpiewaków. Był to Janek od stróża, Elżbietka, córka praczki, Staś i Frania z sutereny i Jadwisia z czwartego piętra,

której mama przyjmowała szycie na maszynie. Dzieci serdecznie powitały gości i prosiły, aby jeszcze zaśpiewali, nim zapalą choinkę.

W pokoju prawie ciemno się zrobiło, tylko przez okno zaglądała gwiazdka i mrugała srebrnymi promykami, jakby to, co widziała wzruszało ją i cieszyło. Świeczki zapalały się jedna po drugiej, a mała gromadka śpiewała kolędy coraz, coraz piękniejsze.

Wkońcu całe drzewko płonęło przesłicznie, ale jaśniejsze były oczy dzieci i weselsze zarumienione twarzyczki. Wszyscy razem wzięli się teraz za ręce i śpiewając chórem, obchodzili drzewko, oglądając je z każdej strony.

Wtem Elżbietka, najmłodsza, zakasłała i Zosi przyszło na myśl, że ich mali goście mogą być zmęczeni, bo pewno niemało nabiegali się dzisiaj, pomagając w pracy rodzicom. Zaraz też posadziła Elżbietkę na sofie i spytała Jadwisi, czemu nie przyszedł jej braci-szek.

— Szewc mu nie zeszył buta, co pękł dzisiaj rano — powiedziała Jadwisia — bosu nie mógł — płacze na gorze i czeka, aż wróce. A tutaj tak wesoło!

Westchnęła, że Pawełek nie był na kolędzie, nie widział ślicznego drzewka. Zosi i innym dzieciom też żal się zrobiło.

Tymczasem weszła mama, aby przypomnieć, że czas rozdać podarunki, bo niedługo wszędzie dzieci z rodzicami zasiądą do wili.

Zaczęło się więc rozdawanie. Bolesć coś szeptał mamie z ogromnym zapalem i zaraz potem przed Jadwisią postawił buty, jeszcze bardzo dobre, które się doskonale zdadzą na Pawełka. Oprócz tego dziewczyn-

ki dostały barchanowe sukienki, które Zosia i Andzia przy pomocy mamy same z wielką pracą uszyły. Dla chłopców były czapki, płaszczyk Kazia, kurtka Bolesia. Potem rozdano książki i zabawki: lalki, kuchenkę, kolej, konia, grę w domino. Każde z dzieci gromadziło swoje skarby, a co radości, śmiechu, okrzyków, wesela! Elżbietka chciała Zosię pocałować w rękę z wielkiego uszczęśliwienia, ale Zosia się zawstydziała i serdecznie ucałowała bladej jej buziaka.

Nakoniec przysłała kolej na choinkę: jakże tu pozdejmować z niej wszystkie śliczności? Żal i szkoda. W końcu Zosia dała radę: choinki teraz nie rozbiorą, służąca ją zanieśe ostrożnie na czwarte piętro, żeby i Pawełek zobaczył. Tam będzie stała do trzeciego święta, a wszystkie dzieci co dzień mogą ją odwiedzać. W trzecie święto zbiorą się znów wszyscy razem, Zosia i Bolesławi sami zdejmą z niej przysmaczki i rozdziela na równe części.

Wszystkim się to najlepiej podobało, więc tymczasem każdemu z dzieci matka dała tylko strucelkę, kilka jabłek i paczkę pierników. Wyszły uszczęśliwione, śpiewając kolędę i obiecując sobie, że dziś jeszcze zbiorą się znów na górze; mama Jadwini zapali choinkę i będzie jasno, wesoło, prześlicznie!

— Jak pusto — rzekła Andzia, gdy zniknęli goście.

Tak, w pokoju zrobiło się pusto i szaro, ale w sercach dzieci pozostała radość, jakiej nie doznały jeszcze nigdy w życiu.

— Tak się zawsze gwiazdka powinna zaczynać — rzekła nakoniec Zosia — bo to gwiazdka miłości i szczęścia dla ludzi, więc kochajmy się wszyscy i uszczęśliwiajmy.

Mateczka uściśnęła Zosię i poszli wszyscy razem zasiać do wili.

— A potem nasza gwiazdka — odezwał się Kazio, spoglądając ciekawie na zamknięte drzwi od saloniku.

Mama się uśmiechnęła, a Zosia pomyślała sobie, czy też ta gwiazdka będzie przyjemniejszą od tej, którą dla biednych dzieci urządziły?

Szopka.



Mizerna, cicha
Stajenka licha,
Pełna niebieskiej chwały;
Oto leżący
Przed nami śpiący
W promieniach Jezus mały.

Nad nim anieli
W locie stanęli
I pochyleni klęczą,
Z włosy złotymi,
Skrzydły białemi,
Pomalowani tęczą.

Oto Maryja,
Czysta lilija,
Przy niej staruszek drżący,
Stoją przed nami
Wraz z pastuszkami,
Tacy uśmiechający.

A w koło mnodzy
Ludzie ubodzy,
Radzi oglądać Pana,
Pełni natchnienia,
Pełni zbawienia,
Upadli na kolana.



Kogo kochać.



Kogo masz kochać, dziecino droga,
Pytasz mię, patrząc ciekawie?
Oto najsamprzód dobrego Boga,
Który cię stworzył łaskawie.

Kochaj serdecznie mamę i tata,
Najgłębszą dziecka miłością,
Oni nad tobą w dziecięcie lata
Z taką czuwali tkliwością.

Kochaj rodzeństwo: siostry i braci,
I tych, co sercu są bliżcy,
Czy to ubodzy, czy to bogaci,
Wszak braćmi jesteśmy wszyscy.

Tego biedaka, co stoi w progu,
I tę sierotkę znędzniałą
Kochaj miłością pierwszą po Bogu
I braćmi nazwij ich śmiało.

Żresztą dla wszystkich, luba dziecino,
Z jednakiem sercem być trzeba,
Bo równie tobą, jak i ptaszyną
Bóg opiekuje się z nieba.

Wł. Betza.



Kochajmy się!



Kochajmy się, bracia moi!
Niech nam zgoda serca spoi,
Od pałaców w chatki kmieci —
„Kochajmy się” niech głos leci.



Jakaż bieda mi dobodzie,
Kiedy z bratem żyję w zgodzie?
Gdy z nim smutki i wesele,
Chleb i życie, wszystko dzielię?



Kochajmy się tylko wzajem,
Każdy kącik będzie rajem,
Bo gdzie wzrasta miłość, zgoda,
Tam jest szczęście i swoboda.

T. Lenartowicz.



Zmartwienie.



Największe zmartwienie to mają dzieci z rodzicami — mówił Romek do Eli, kiedy jednego wieczora mama i ojciec poszli na wizytę.

Ela tylko westchnęła. I ona nie lubiła bardzo, gdy rodzice oboje wychodzili z domu. Tak się robiło zaraz pusto, smutno. Jest babunia, dobra, kochana babunia, ale nikt nie zastąpi mamy ani ojca.

Dobra babunia widać się tego domyśla, pragnie dogodzić wnukom, rozweselić. To podaje przysmaczek jakiś do herbaty, to coś opowie z dawnych, dawnych czasów, kiedy mama była malutka. Dzieci słuchają, czują jednak ciągle, że w domu pusto.

Po herbacie Romek otwiera książki, uczy się na jutro, Ela rozbiera lalkę, szyje jej sukienki i cichutko w pokoju. Babcia robi pończoszkę, a czasem zadrzemie na wygodnym fotelu, a zegar wiszący powtarza głośno: tik-tak, tik-tak! —

Kiedy rodzice są w domu, nigdy zegara nie sły-chać, nikt na niego nie zważa. Choćby byli w innym pokoju, to już dobrze. Ma słuszność Romek: największe mają dzieci zmartwienie z rodzicami.

— Chodźmy spać — mówi Ela — taki ten wieczór nudny.

Romek myśli to samo: gdyby ojciec był w domu, toby mu teraz opowiedział, co się dziś stało w szkole, a tak — to niema komu, — Ela nie rozumie, a babcia także nie zna się na szkolnych sprawach, — co innego ojciec: sam był w takiej szkole.

Dzieci całują babcię w rękę na dobranoc i z żalem spoglądają na puste krzeselka, które zwykle ojciec i matka zajmują.

Ale nazajutrz przyjemnie się zbudzić: mama już wstała i krząta się koło śniadania, ojciec siedzi przy stole i czyta kuryera. Pyta, co wczoraj dzieci robiły wieczorem. Doprawdy z rodzicami jaśniej i cieplej w mieszkaniu.

Ela mówi mamie o wczorajszym zmartwieniu, ale mateczka uśmiecha się tylko z dobrocią,

— Nie trzeba być takimi pieścuchami — mówi — pomyśl o dzieciach, które wcale rodziców nie mają albo o takich, które dla nauki muszą mieszkać w mieście u obcych. Kochać to nie znaczy patrzeć się ciągle na siebie, ale tak postępować i zawsze to czynić, co dla naszych ukochanych dobrem i miłym być może. Kiedy nas w domu niema, zamiast się smucić i narzekać, powinniście oboje opiekować się babunią, której też pusto wtedy i samotnie.

Ela uważnie słuchała słów mamy i szczerze postanowiła spełnić jej życzenie. Powtórzyła je bratu, kiedy powrócił ze szkoły i oboje uradzili przekonać rodziców, że nie są pieścuchami i kochać umieją, bo postarają się tak postępować, aby matka i ojciec byli z nich zadowoleni.

Dobrze to uradzili i bardzo rozsądnie, — gdy znów zostali sami, już nie narzekali, lecz starali się, żeby

i babuni dobrze i przyjemnie ten wieczór upłynął,
jednakże — pusto, smutno było w domu.

Wtedy zrozumieli oboje najlepiej, jakim to wiel-
kim skarbem są rodzice, jakie to szczęście, gdy oboje
zdrowi i jak za to Bogu należy dziękować.

Bo jeśli smutno, gdy ojciec lub matka wyjdą na
kilka godzin dla rozrywki, to jak okropnem musi być
nieszczęściem, kiedy jednego z nich braknie!

O, kochajcie dzieci rodziców, bo nikt was tak, jak
oni, kochać nie będzie w życiu.





Jastrząb.

Ω

Co się stało, że kurczęta
Biegną z takim krzykiem?
Ach, to jastrząb się ukazał
W górze nad kurnikiem.
Począł toczyć wielkie koła,
Roztworzywszy szpony,
I do żeru nagotował
Swoj dziób zakrzywiony.
Stara kwoczka przystanęła,
Wytężyła oko,
I wnet wroga dopatrzyła
Pod niebem wysoko.

Oba skrzydła rozpostarła,
Przysiadła do ziemi
I piskłęta swe okrywa
Piersiami własnymi.
Dziób do boju naostrzyła,
Nie da swoich dzieci.
Hej, jastrzębiu, drapieżniku,
Nie radzę waszeci
Podlatywać nazbyt blisko
Do małego stadka,
Bo niełatwo o zwycięstwo
Tam, gdzie walczy matka.

M. Dynowska.



Każdy domku swego strzeże.



- Gdzie leciecie, gołąbeczki,
Wysoko, to nisko?
— Patrzym, patrzym, czy nie widać
Jastrzębia gdzie blisko.

Bo ten jastrząb, zły niecnota,
Ma okrutne szpony
I dziób mocny, ot tak długi,
Tęgo wyostrzony.

Jak uderzy w gniazdko nasze,
To polecą pierze...
Każdy przecie, choć najslabszy,
Domku swego strzeże.

- Co tam robisz, mój zajączku,
Pod kamieniem, w zbożu?
— Patrę, patrę, czy nie idzie
Strzelec po przydrożu.

Bo ten strzelec, zły niecnota,
Dziatki mi pobierze...
Każdy przecie, choć najslabszy,
Domku swego strzeże.

M. Konopnicka.



Rodzeństwo.



Kostuś był dobrym bratem, kochał Jadzię i Anielkę, lubił niezmiernie sprawić im jaką przyjemność, lecz do swego stolika zbliżać im się nie pozwalał, a jeśli która cokolwiek ruszyła, wyprawiał straszne awantury.

— Pilnujcie swoich lalek! — wołał zaperzony. — Co wam do moich książek? Czytać nie umiecie, po co je ruszać?

— Ja umiem — odpowiadała obrażona Jadwinia.

— Co ty tam umiesz, bąkać na elementarzu! — Zapowiadam, że jeśli się jeszcze choć raz przekonam, że ruszacie moje papiery, to wam wszystkie lalki potłukę.

— Ho! ho! ho! — powtarzały Jadzia i Anielcia bardzo zaniepokojone, oglądając się na swój kącik.

— Dlaczego się tak gniewasz na siostry, Kostusiu, — napominała mama — one napewno nie chciały zrobić ci żadnej szkody.

— Ale plan mi zgubiły. Leżał tu na kartce i myślały pewno, że to niepotrzebne. A tu wszystko potrzebne. Ja się nigdy z nimi nie kłóczę, ale do tego mam prawo, żeby moich rzeczy nie ruszały. Teraz muszę iść do kolegi, bo nie wiem, co na jutro zadane.

I wyszedł.

— Widzisz, Jadziu — rzekła mama — zrobiłaś bratu przykrość. Po co ruszałaś jego papiery?

— Chciałam kurz zetrzeć, mamó — tłumaczyła się Jadzia. — Już niczego nigdy na jego stoliku nie dotknę.

I była znowu zgoda. Kostuś żałował, że się na siostry rozgniewał i kupił im nazajutrz za własne pieniądze dwie małe czekoladowe laleczki, które im bardzo smakowały.

Nie przybliżyły się teraz wcale do stolika, na którym zawsze zostawały jakieś papiery i kajety, i mama sama kurz z niego ścierała.

Ale raz Jadzia pomagała mamie składać bieliznę w jadalnym pokoju, a tymczasem Anielcia bawiła się sama lalkami. Wtem przyszło jej do głowy, że jedna lalka będzie kominiarzem, — kominiarz musi być czarny, więc owinęła ją w ciemny gałganek, ale i buzię także trzeba jej powalać. Czemuż tutaj?

Jakoś niechęć spojrziała na stolik, na atrament w kałamarzu i nie myśląc wiele, zbliżyła się powolutku. Nic, nic nie ruszy Kostusiowi, do żadnego kajetu się nie dotknie, tylko umacza łyżeczkę lalki w kałamarzu i będzie miała farbę.

Wspina się na paluszki, rączkę wyciąga, jak może, dosięgła kałamarza, pcha łyżeczkę w środek, a tymczasem kałamarz się przewraca i atrament rozlewa na kajety i wszystkie papiery.

Anielcia krzyknęła strasznie i zaczęła płakać ze strachu i żalu, — przybiegła Jadzia i aż ręce załamała — Boże! Boże!

A wtem i Kostuś nadszedł. Spojrzał na biurko i wziął się za głowę.

— Moje lekcye, moje zadania! — zawołał — Ach, szkaradne dziewczęta, niegodziwe!

Anielcia zanosila się od płaczu, lecz Jadzia nagle wzięła swoją lalkę, największą, najładniejszą i podając ją bratu, zawołała —

— Stłucz! stłucz! Kostusiu!

Kostuś porwał lalkę i z całej siły rzucił ją o ziemię. W tej chwili jednak zawstydził się bardzo tego, co zrobił. Spojrzał na biedną lalkę, leżącą na nosie, na twarzączkę Jadzi czerwoną z przestrichu, na łzy w jej oczach, i gniew go opuścił, zasłonił twarz rękami i rzucił się na sofę.

— Cóż tu się dzieje? — zapytała mama, która weszła do pokoju.

Anielcia przybiegła do niej i z płaczem tulić się zaczęła i mówić głosem przerywanym:

— Ja wylałam atrament, a Kostuś stłukł lalkę Jadzi!

Mama podniosła lalkę: nie była stłuczona, ale Kostuś nie miał odwagi spojrzeć na nią, ani na dobrą Jadzię, co nie była wcale winna, a oddała swoją zabawkę, żeby odwrócić gniew jego od siostry.

— Nigdy, już nigdy nie będę złośnikiem — rzekł z wielkim żalem i wyciągnął ręce, a siostry zaczęły go ścisnąć i całować i przepraszać za wszystkie winy.

Mama nic nie mówiła, ale przyjemnie jej było, że dzieci tak się kochają.



Wśród zimy.



Mróz w swe uściski uchwycił ziemię,
A na gałęzi ptaszyna drzemie.
Chłodno jej, głodno, nigdzie robaczka,
Nigdzie z zieloną gałązką krzaczka.
Ni się pożywić, ni gniazdka zwić,
Ciężko ptaszętom tu w zimie żyć!
Słonko gdy błysnie, ptaszek się sili
Zanucić piosnkę, słonko w tej chwili
Ukryje jasne promienie chłodne,
I pozostawi ptaszyny głodne.
Oj, źle ptaszętom wśród zimy żyć,
Ni gdzie się ogrzać, ani gdzie skryć.
Wtem jeden ptaszek zakwilił rzewnie,
I Bóg go w niebie usłyszał pewnie,
Bo oto chłopcy idąc z ślizgawki,
Rzucili na śnieg śniadania skrawki.
Dla ptasząt był to prawdziwy cud,
Zaspokoili tem straszny głód.
Sfrunął więc ptaszek drugi i trzeci,
Jeden odleciał, drugi przyleci.
A każdy chwyci po odrobinie,
I jakoś żaden z głodu nie zginie.
Bo i wśród mrozu i długich zim
Opatrzność Boska czuwa nad nim.

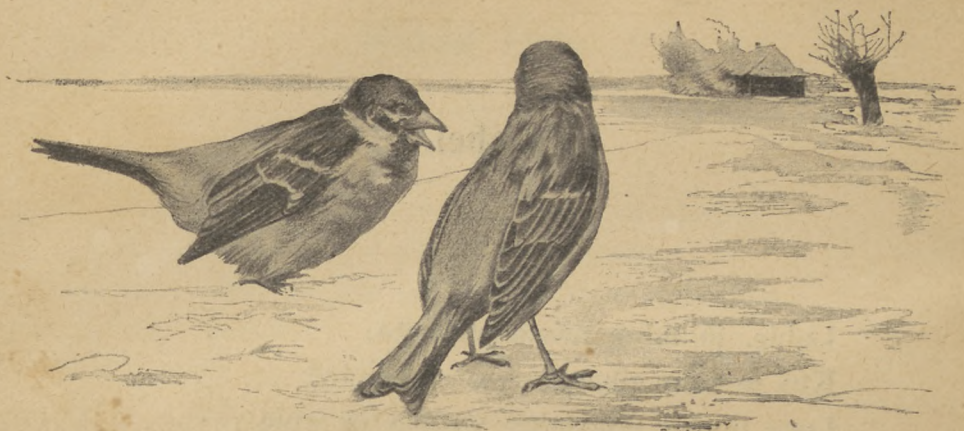
Z. Morawska.

Wróbel.



Lubię, ja lubię nasze ptaszęta,
Kto je tam zliczy i kto spamięta?
Lecz ponad wszystkie wróbla ja wolę,
Co się pod strzechą gnieździ w stodole; —
Choć wielki psotnik, choć ziarno kradnie,
Choć wścibski, wszędzie wciśnie się zradnie,
Lubię go za to, że gdy w jesieni
Pożółknie świetna barwa zieleni,
Tłum ptaków w obce ucieka kraje —
A wróbel wierny z nami zostaje,
Tu, gdzie się rodził i żył od młodu;
I choć drży z zimna, przymiera z głodu,
On swej kochanej strzechy nie rzuci,
Smętnie świergoce, żałośnie nuci,
I czeka wiosny, czeka z nadzieją,
Że pogodniejsze dni zajaśnieją.





Wróbel na śniegu.



Przy Wiselce na brzegu
Chodził wróbel po śniegu,
A dzieci się ślizgały,
Na wróbelka wołały:

— Hej, ptaszyno, nieboże!
Zimno teraz na dworze;
Oj! biedaki, biedaki,
Gdy dokuczy mróz taki!

A wróbelek odrzeczę:
— Że jest zimno, nie przeczę,
Lecz nie zginą ptaszęta:
Bóg i o nich pamięta!

St. Jachowicz.



W domu.



Prawda to święta, że w domu najlepiej. Chociaż mróz, ciemno, choć zima na dworze, jak wesoło w pokoju wieczorem! Przy dużym stole zasiedli rodzice i dzieci, lampa się pali jasno, wkoło znane sprzęty, na które patrzą, odkąd zapamiętać mogą. Pomędzy niemi znane kąty i kąciki, gdzie chowały się tyle razy, o każdym z nich coś wiedzą, opowiedzieć mogą; tu Władzio głowę rozbił, tam się najlepiej chować, tutaj mieszkały dawniej lalki, tu była stajnia Romanka, wszystko, wszystko coś przypomina i tak im tu dobrze, tak się czują u siebie.

Ojciec czyta gazety i rozmawia z mamą, która naprawia dla dzieci bieliznę, a one się skupiły na przeciwnym końcu stołu. Romek maluje obrazy, a Władzio doradza mu, bo starszy. Sam malować nie ma ochoty, ale praca brata zajmuje go i zaciekawia, wcale od niej oczu oderwać nie może. Bo też będzie to straszna bitwa z Indyanami, o której czytali obydwaj. Więc musi być las, woda, z daleka chata osadnika, i dzicy wojownicy z piórami na głowach i konie, łuki, dzidy, biali ludzie, i pies i ptaki w górze. Ogromna robota.

Mania i Józia także zagląдают czasem do tego arcydzieła, ale inaczej się bawią, w „gadulki“. Poustawiały lalki duże, małe, papierowe, z gałganków, — jedne są rodzicami, inne dziećmi, a tamto goście, przyjechali sankami, trzeba podawać herbatę, piec prędko ciastka, — goście zapraszają na bal, więc nowe stroje, jazda, tyle sani z kart sunie po białej ceracie

do drugiego dworku. Tam będzie zabawa. Bach! w śnieg się wywrócili, jeden złamał rękę, więc go niosą. Historya bardzo zajmująca i nigdy się nie kończy, bo prawie zawsze te same osoby w niej występują.

Ciocia coś czyta i patrzy na dzieci, widać, że jej przyjemnie patrzeć na nie. Nagle nieznośny zegar uderza dziewiątą. Wszystkie oczy zwracają się z prośbą na ciocię:

— Jeszcze choć pół godzinki!

Bo tak dobrze! Jakże tu odejść, kiedy tak dobrze przy stole, tak spokojnie pod okiem kochanych rodziców, tak miło, bo się wszyscy tu kochają, więc i ciepło i jasno i wesoło razem. „Gadułki“ mogą trwać do późnej nocy, obraz się dziś nie skończy, to rzecz pewna, ale jest przecie jutro, i taki sam wieczór, i tak samo będzie dobrze i przyjemnie w tym znanym, zawsze tym samym pokoju.

— No, dziatwo, zagram wam na pożegnanie tego dnia — mówi ciocia, żeby ich pocieszyć i wszystkie się zrywają od razu radośnie. Mania zapala światło w bawialnym pokoju, Romek otwiera pianino, za chwilę ciocia uderza w klawisze, a dzieci śpiewają chórem.

Płynie pieśń wesoła, potem poważniejsza, bo po dniu skończonym, trzeba podziękować Bogu za wszystko dobre i prosić o jutro, równie szczęśliwe dla całej rodziny.

Więc coraz ciszej i ciszej — Dobranoc! — aż ucichło zupełnie. Na czystych łóżeczkach wygodnie i spokojnie leżą te szczęśliwe dzieci; — ale czy wszystkie na świecie mają taki jasny pokój, takie czyste łóżeczka i drogich rodziców?

I czy dla tamtych, biednych, nic zrobić nie trzeba? Czy o nich nigdy nie myślicie, dzieci?





Pranie.



— Pucu! pucu! chlastu! chlastu!
Nie mam rączek jedenastu,
Tylko dwie mam rączki małe,
Lecz do prania doskonałe.

Umiem w cebrzyk wody nalać,
Umiem wyprać — no, i zwalać.
Z mydła zrobię tyle piany,
Co nasz kucharz ze śmietany.

I wypłuczę i wykrecę,
Choć mię dobrze bolą ręce,
Umiem także i krochmalić,
Tylko nie chcę się już chwalić!

Tak to praca zawsze nowa,
Gdy kto lalek się dochowa!
A u pani jakże dziatki?
Czy też brudzą swe manatki?

— U mnie? Ach, to jeszcze gorzej:
Zaraz zdejmuj, co się włoży!
Ja i praczki już nie biore,
Tylko co dzień sama piore!

M. Koropnicka.



Pracowita Zosia.



Ledwie błysnie w górze
Złoty blask słoneczka,
Wstaje mała Zosia
Z białego łóżeczka.

Spragnione ochłody
Poi wodą kwiatki,
Potem rzuca ziarno
Do kanarka klatki.

Pracowita Zosia,
Choć taka nieduża,
Bo meble co rano
Miotelką okurza.

Wielką otomanę,
Kanapę, fotele
Czyści, wyręczając
Starszą siostrę, Hełę.

A gdy się załatwi
Z tą robotą całą,
Wtedy/ przy okienku
Siada z Julcią małą.

Przeróżne powiastki
Czyta jej z książeczki,
Jakże tu nie kochać
Tak pilnej Zosieczki.

Or-Ot.



Pracuj sama.



— Co tam robisz, wiewióreczko?
— Jem orzeszki, panienczko.
— Któż ci zrywa, moja miła?
Wiewióreczka się zdziwiła:
— Sama sobie rwałam — powie,
Jestem młoda, samo zdrowie,
A wiem także, że próżniacy
Tylko żyją z cudzej pracy.



Nie chcę być próżniakiem.



Wstałem rano,
Jeść mi dano,
Chodzę sobie,
Nic nie robię!
Ludzie inni
Bardzo czynni:
Ten rąbie, choć stary,
Ten dźwiga ciężary;
Ten czyta, ten pisze,
Ta dziecko kołysze;
Ten szyje, ta pierze,
Każdy się do pracy bierze.
A ja jeden w gronie takim
Mam bez pracy być próżniakiem?
Nie, nie będę darmożjadem!
Pójdę za dobrym przykładem:
Zajmę się zaraz z ochotą
Wyznaczoną mi robotą.



Witka ze złotej wiepzy.



Ignaś niezmiernie lubił konie. Na widok ładnego rumaka aż mu się oczy śmiały, taką miał ochotę popieścić go, poklepać, nawet pocałować. Ale ojciec nie pozwalał zbliżać się do obcych koni, lubią one kopać, a uderzenie kopyta może zadać ciężką ranę; własnego zaś konika Ignaś nie miał.

Niekiedy wszakże jeździł z ojcem do wujaszka, który mieszkał na wsi i miał piękną stajnię. To była radość! Wujaszek pozwalał mu nawet przejeżdżać się wokoło klombu na jednym bardzo spokojnym wierzchowcu. Ignaś kochał tego konika!

Raz ojciec wziął go z sobą do ujeżdżalni, zaprowadził do stajni i trzymając za rękę, pokazywał bardzo piękne konie, pozwalał dawać im chleba, głaskać i oglądać.

Ignaś był uszczęśliwiony.

W domu najulubieńszą zabawą były konie. Miał aż trzy w swojej stajni: kasztanka, siwka i karego; a co batów, prętów, witek i rozmaitego rodzaju uprzęży! Co dzień jeździł. Raz bywał dorożkarzem, odwoził pasażerów na kolej, albo jeździł w aleje, spieszył się, obliczał zarobione pieniądze, karmił, poił swoje rumaki. To znów był stangretem, powoził pięknymi powozowymi końmi; woźnicą od tramwaju, — dżokejem na wy-

ścigach, berajterem w ujeżdżalni lub Antkiem od wujaszka,—zwoził snopy przed burzą, orał, jeździł na jarmarki. Słowem, zabawa co dzień była inna, a nigdy się nie sprzykrzyła.

Naturalnie, że do każdego rodzaju jazdy miał inne lejce, baty, i nie można mu było większej sprawić przyjemności, jak podarować dobre biczysko, sznurek albo witkę. Ile razy był u wujaszka, przywoził sobie zawsze cały pęk prętów, z których sam wyrabiał najlepsze baty i szpicruty.

Najlepiej lubił bawić się z takimi dziećmi, które podzielały jego upodobanie i pozwalały mu rządzić zabawą; takim właśnie był Lutek i z tego powodu Ignas lubił go bardzo. Na żądanie Ignasia Lutek wołał do rożki, jechał na kolej albo do Łazienek, bywał współzawodnikiem na wyścigach, snopkiem pszenicy, psem, przeszkodą, pasażerem. Poczciwy, dobry chłopczyzna i bardzo przywiązany do Ignasia, pozwalał przyjacielowi robić z sobą wszystko.

Z Antkiem od wujaszka Ignas też się zaprzyjaźnił i uczył się od niego obchodzenia z końmi. Przez wdzięczność, ile razy jechał na wieś, zawsze mu coś zawoził: to zabawkę jaką, to cukierek dla dziecka, to książeczkę albo trochę tytoniu. Antek za to dostarczał mu zawsze najpiękniejszych witek.

Raz — było to na wiosnę — Ignasia zbudził głos mamy.

— Wstawaj, śpioszku,—zobacz no, jakie witki przywiózł ci Antek.

Były to rzeczywiście witki nadzwyczajne, prześliczne, trudno je nawet opisać. Witki ze złotej wierzby, całe świejące, zielonawo-żółte, giętkie i cięte, a mocne!

Książę mógłby pozazdrościć podobnej szpicruty. Jedna była dość gruba, długa przeszło na trzy łokcie; a druga bardzo sztucznie spleciona z trzech cieńszych prętów. Obie Ignasiowi wydały się takim skarbem, jakiego nikt na świecie nie posiada.

Wyskoczył z łóżka, ucałował Antka i pobiegł zaraz do swojej stajni w kącie pokoju. Ale mama nie pozwoliła mu dosiąść wierzchowca: czyż dżokeje jeżdżą w koszuli? Musiał ubrać się porządnie, a po śniadaniu i lekcji pobiegł do Lutka i zaniósł mu witkę plecioną.

Lutek ucieszył się bardzo, uściskał przyjaciela i obiecał po południu przyjść na wspólną zabawę.

Ignas do tej zabawy robił wielkie przygotowania: miały to być wyścigi. Poczyścił konie, przystroił je pięknie w nowe siodełka, urządził metę, przeszkody, witkę ze złotej wierzby przewiązał na końcu czerwoną włóczką i czekał cierpliwie na Lutka.

Lutek przyszedł późno i bez witki, oczy miał zapłakane.

— Co się stało? Gdzie witka?—dopytywał Ignas.

Łzy znów zaczęły płynąć po twarzyczce Lutka.

— No, mówże? Co się stało? Dlaczego nie przyniosłeś witki?

Miałem ją—odrzekł Lutek, łkając— ale inni chłopcy otoczyli mnie na ulicy i szli za mną, prosząc, żebym ją rozplótł i dał im po jednej. Powiedziałem, że nie dam, a wtem duży chłopak wyrwał mi ją i śmiał się. Ej, Kostek, cudzego nie bierz!—zawołali inni i wzięli moją stronę. Zaczęła się bójka i połamali moją złotą witkę!

Nie mógł nic więcej mówić, gdyż wybuchnął płaczem i drżał cały. Ignasiowi żal go było.

— Nie płacz, Lutku—prosił—jeśli pojedę do wujaszka, to ci przywiozę inną.

— Nie pojedziesz—mówił Lutek—kiedy tam pojedziesz! Moja witka, moja śliczna witka!

Ignas popatrzył na łzy przyjaciela i odezwał się cicho.

— To oddam ci swoją. I sam cię odprowadzę dziś do domu, żeby jej się nic nie stało.

— A ty, Ignasiu?—Nie chcę.

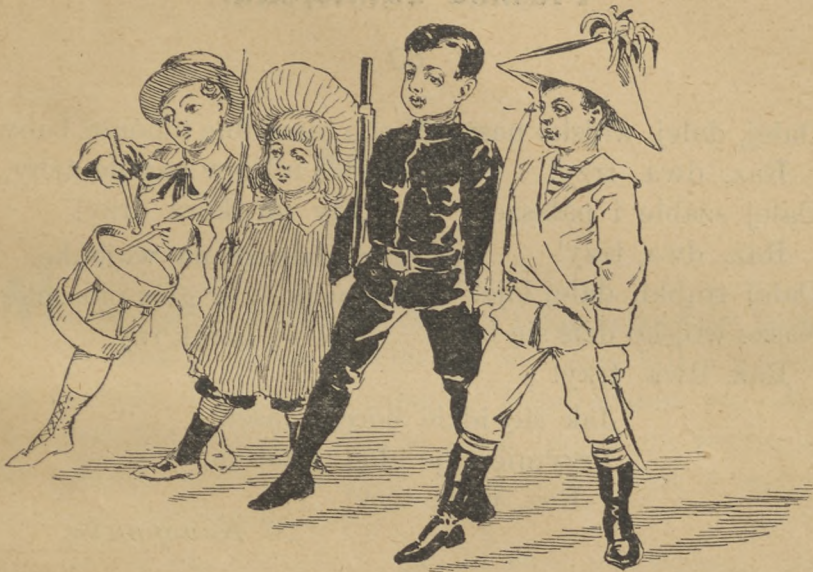
— Nie nudź i bierz — rzekł Ignas, widząc, że w oczach Lutka błysnęła znowu radość.

Lecz żal mu było witki i sam miał łzy w oczach, ale odwrócił głowę i niby pochylając się nad koniem, ucałował z całej siły giętką gałązkę wierzby.

Potem dał ją Lutkowi.

Rok upłynął, nim Ignas doczekał się równie pięknej witki ze złotej wierzby; — przez ten czas ile razy był u Lutka, zawsze bawił się swoim darem, który dla obu chłopców zarówno był drogim, a Lutek tak go szanował, że choć witka wyschła i straciła giętkość, nie pozwolił jej zniszczyć, lecz zrobił z niej bat piękny, który służył mu jeszcze długo.





Żołnierze.



Trzech chłopczyków, Oleś czwarty,
Maszerują nie na żarty.
Choć pułk cały bosy chodzi,
Oleś dzielnie nim dowodzi.

Staś, choć gniewa się kucharka,
Zrobił sobie bęben z garnka,
Jaś wystrugał pałasz z kija
I walecznie nim wywija.

Chcą się chłopcy okryć chwałą,
Maszerują wszyscy śmiało,
Tylko mały Cześ, niebożę,
Zdążyć za nimi nie może.

Piosnka żołnierska.



Dalej, dalej, wojsko nasze, Niech tam sobie tchórze, baby,
Raz, dwa, trzy! Siedzą niby w bagnie żaby,
Dalej szable i pałasze, Gdy im skóra drży!
Raz, dwa, trzy! My idziemy na wojenkę,
Dalej trąbki, dalej kije! Śpiewający w głos piosenkę:
Nasze wojsko dziś się bije, Jak to konik rzy.
Raz, dwa, trzy!

Jak się idzie borem, lasem,
Przymierając głodu czasem,
Raz, dwa, trzy!

M. Konopnicka.



Kłamca.



Raz pastuszek w ciemnej nocy
Krzyknął: — Gwałtu! wilk! pomocy!
Wnet się zbiegło ludzi kilka:
— Gdzie wilk?—A tu niema wilka!
A że ich tak zręcznie zdurzył,
Raz i drugi to powtórzył.
Rozgniewał tem dobrych ludzi,
Że ich ciągle próżno budzi.
Ale znowu jednej nocy
Krzyknął:—Gwałtu! Wilk! pomocy!
Nie wierzyli, bo się zwiedli,
A wilcy mu owce zjedli.



Kłamstwo.



Mama wyszła do miasta, Alinka i Kazia zostały same w domu. Kazia bawiła się wybornie lalką, a Alinka zaczęła uprzątać w pokoju, żeby mama wszystko w porządku zastała. Zetrze kurz, poukłada rozrzucone rzeczy, potem usiądzie sobie koło Kazi i będzie czytała ulubioną książkę.

Zwija się, sprząta, — starła kurz z kredensu, pochowała chustki i różne papiery, tu i owdzie porozrzucone, a niepotrzebne rzeczy zebrała na tackę i wyniosła do kuchni.

W kuchni gotuje się obiad, ale kucharki niema, po coś wyszła; na desce przygotowane wszystko do prasowania, nawet żelazko stoi na podstawce, ale i Kasia niema, też gdzieś wyszła.

Alinka lubi niezmiernie prasować, a nigdy jej nie pozwalają, żeby się nie sparzyła. Otóż teraz uprasuje kilka sztuk bielizny i przekona się mama, że nie sobie nie zrobiła. Serwetka jakby dla niej rozłożona.

I nie myśląc wiele, postawiła tacę, bo spieszyć się trzeba, zanim Kasia powróci. Dźwignęła żelazko, postawiła na serwetce i posunęła z trudem: bardzo ciężkie. Nagle pociemniało jej w oczach ze strachu: z pod żelazka wyrzała ciemno żółta plama spalonego płótna.

Boże! Boże! Boże! po co ona się tego dotykała?

Wtem zdawało jej się, że ktoś ruszył klamkę,— pewno Kasia powraca. I taki ją strach ogarnął, taka straszna chęć ukrycia swojej winy, że czempredzej zaczęła drżącymi rękami składać serwetkę, poprzednio już uprasowaną, i wsunęła ją w środek między inne. Teraz nikt nie zobaczy: ani Kasia, ani mama, nikt, nikt nie będzie wiedział.

Wróciła do pokoju, ale niczem się zająć nie mogła, ręce jej drżały, serce biło mocno i wciąż widziała ciemno-żółtą plamę na spalonej serwetce. Nikt nie widział i nikt nie wie, ale plama jest i nie zniknie

Wzięła do ręki książkę i zaczęła czytać, ale nie nie rozumiała. Kasia ją o coś pyta, ona nie wie, o co, tylko jej smutno tak okropnie, że chciałaby się schować pod ziemię.

Ktoś zadzwonił — to mama. Pochwaliła Alinkę za porządek w pokoju i dała dziewczynkom po świeżutkim pączku.

Lecz dzisiaj nie smakował Alince przysmaczek, wstydziła się pochwał mamy, nie umiała patrzeć jej w oczy, jak zawsze, i gdy wszyscy byli weseli, jej ciężki, ciężki smutek ścisnął serce.

Po obiedzie przyniesiono z kuchni kosz bielizny i mama zaczęła układać ją w szafie, a dziewczynki jej pomagały. Policzyła serwetki i położyła je na swoim miejscu;—już teraz nie się nie wyda.

Cały wieczór jednakże tak był nieznośny dla Alinki, tak nie mogła zapomnieć ciemno-żółtej plamy, że zaraz po herbacie poszła się położyć, żeby już nie patrzeć na nikogo.

— Czy ci co jest, Alinko?—zapytała mama, zbliżając się do jej łóżeczka.

Położyła jej rękę na czole, pochyliła się i ucałowała swoją pomocnicę i pociechę.

Tego Alinka dłużej znieść nie mogła i nagle zaczęła płakać strasznie, strasznie.

— Niech mnie mama nie chwali, bo jestem kłamca!

I zaczęła opowiadać wszystko, wszystko. Było to bardzo przykro, ale z każdym słowem czuła, że jej lżej na sercu, że już nie tak okropnie smutno. Mama wie wszystko, to daleko lepiej.

A mama wysłuchała jej spokojnie, dała się wypłakać, a potem tak mówiła, patrząc jej w oczy:

— Jestem bardzo szczęśliwa, że mam taką córkę, co nie umie kłamać, bo niema nic na świecie brzydszego nad kłamstwo. A tembardziej kiedy kłamiemy dla własnej korzyści. To gorsza na sercu plama, niż tamta od żelazka. Lepiej się przyznać do najcięższej winy i mieć czyste sumienie, niż zostać kłamcą.

I uściskała Alinkę, której ten uścisk teraz był tak miły jak zawsze, bo czuła, że na niego zasługuje.



Skrucha Józia.



Co to Józia tam zbroiła,
Że się tak za drzewo skryła?
I oczki się podnieść wstydzi,
Myśli, że jej nikt nie widzi?

Wiem ja, wiem, co to za sprawa:
Panna była zbyt ciekawa,
Co tam mieści słoik który,
I wyjadła konfitury.

Ach, jak brzydko! jak nieładnie!
Jak na sercu jej niemiło!
Każdy teraz ją zagadnie:
— Panno Józiu, jak to było?

Nikt nie widział. Prawda, ale
Czyż nie zdradzą oczki, buzia?
Każdy pozna doskonale:
Konfitury zjadła Józia!

Nawet Filuś... Boże drogi!
Ten rozszczeka w całym domu.
Filuś! Filuś! tu, do nogi!
Jak tu w oczy spojrzeć komu?

Wiem już! Pójdę do mamusi,
Powiem wszystko szczerze, pięknie,
Mama mi przebaczyć musi,
Bo mi z żalu serce pęknie!

M. Koropnicka.



Lalki Hani.



Hania miała dwie babcie, cztery ciocie, dziadunia, trzech wujków, toteż nie brakło jej nigdy zabawek, tyle ich dostawała, że o wielu zapominała zupełnie i nigdy się nimi nie bawiła. Najlepiej lubiła lalki i miała ich też bardzo dużo: jedną ogromną, ze złotymi włosami Małgorzatkę, dwie Krakowianki, Dorotkę i Basię, dwie jeszcze mniejsze, rycerza w blaszanej zbroi, a ma-lutkich to już ze cztery. Małgorzata była królową. Najładniejsza, w każdej sukni ślicznie wyglądała, to też Hania ciągle nowe szyła jej sukienki.

— Moja mamusiu, kup mi dla Małgosi na różową sukienkę!

Mama poszukała między gałgankami i zawsze coś znalazła; Hania szyła pilnie i w końcu lalka miała tyle sukien, że trzeba było na nie kupić szafkę.

— To królowa—mówiła Hania, pokazując wszystkie jej skarby.

Wicuś, braciszek Hani, wielkim był psotnikiem i lalek jej nie lubił, zawsze im dokuczał: to je pousta-wiał do góry nogami, to im poprzywiązywał brudne, brzydkie ścierki, to im powalał nosy.

— Za co im dokuczasz?—gniewała się Hania— Co one ci złego zrobiły?

— One nikomu nie mogą nic złego zrobić—mówił Wicus — bo są głupie, nic nie wiedzą, nic nie czują i za to ich nie lubię. Wolę psa albo kota.

— A ja wolę Małgorzatę, bo jest ładna, i jest potrzebna, bo się nią dobrze bawię. A twoje konie też nieżywe. Aha! Aha!

Wicus nie umiał na to odpowiedzieć, więc tylko wygadywał, że dla konia nie potrzeba kupować sukien.

— To bardzo dobrze, że dla lalki potrzeba, bo się szyć nauczyłam, aha! aha!—mówiła Hania.

— Ty jesteś dziewczyna, to musisz mnie przegadać, ale ja wiem, że lalka to głupia zabawka i że się na nic nie zda.

— A właśnie, że mądra i dobra.

— Wstydzicie się dzieci sprzeczać, kiedy nie macie o co—upominała mama. I lalki są pożyteczne, bo sprawiają dzieciom przyjemność, a niejedna dziewczynka nauczy się przy lalce porządku i pracowitości.

Ale Wicus tego samego wieczora przyniósł woreczek trocin od stolarza, ułożył wszystkie lalki w małej balii i przysypał je trocinami. Dopiero miała Hania nazajutrz robotę otrzepywać je i oczyszczać.

Tego wieczora właśnie przyszła uboga kobieta, która wzięła do wyplecenia dwa krzeselka, przyszła z małą dziewczynką, która miała zawiązane oko.

— Czy ją oko boli?—zapytała mama.

— Ach, proszę pani, straszne stało się nieszczęście—odpowiedziała kobieta z westchnieniem — przewróciła garnek z ukropem i oparzyła się tak strasznie, że na to oko już widzieć nie będzie. Jeszcze jej się powieka nie zgoiła, więc ma zawiązane.

I pokazała ślady ran od oparzenia na szyi i na twarzy dziecka.

Wszystkim żal było biednej dziewczynki, która smutnie patrzyła jednym tylko okiem, ale najbardziej Hani żal jej się zrobiło. Miała łzy w oczach. Nagle podbiegła do mamy, przysunęła twarz do jej ucha i coś szeptać zaczęła.

Mama skinęła głową, wtedy Hania z zarumienioną twarzyczką zaczęła wyjmować wszystkie suknie Małgorzaty i razem ze swoją najpiękniejszą lalką podała je biednej dziewczynce.

— Masz, żebyś nie była taka smutna—rzekła.

W oku dziewczynki zajaśniała radość. Ach, jak się ucieszyła tym prześlicznym podarunkiem! Nie wiedziała, jak dziękować, nie śmiała go zabrać.—

Matka jej dziękowała także dobrej Hani i odeszły uszczęśliwione.

— Aha, czy lalka na nic się nie przyda?—zapytała Wicusia, który patrzył ze zdziwieniem na puste miejsce w rogu lalczynej kanapki.

Wicus pokiwał głową.

— Nie będę już dokuczał twoim lalkom—rzekł poważnie—kiedy z nich umiesz zrobić taki pocziwy użytek.



Do lalki.



Laleczko moja malutka,
Oj, wielka z ciebie filutka,
Sukienki ci się zachciało,
A masz ich przecie niemało!



Ale to znów nic dziwnego,
Ty, lalko, jesteś od tego,
To całe szczęście twoje
Posiadać kosztowne stroje!



Bo w twojej główce pusto,
Groch w niej jest chyba z kapustą,
Albo wróbelki latają,
Różne harce wyprawiają.



Lecz w mojej główce dziewczęcej
Musi się mieścić coś więcej,
Czy to mnie strojów potrzeba,
Gdy ludziom brakuje chleba?



Więc choć lubię swą laleczkę,
Ale ja więcej troszeczkę
W głowie i sercu mieć muszę,
Na to mi Pan Bóg dał duszę!



Sposób na lalkę.



Moja mamó, z tą lalczą
Nie wytrzymam chyba dłużej!
Ciągłe stoi przed lusterkiem,
Ciągłe tylko oczki mruży.

To się muska, to się puszy,
To sukienki wciąż odmienia,
A co zniszczy kapeluszy!
Same, same utrapienia.

Ni do książki, ni do igły,
Tylko różne stroi miny,
Już doprawdy, proszę mamy,
Nie wytrzymam i godziny!

Klaspów chyba dam jej kilka
Albo w kącie ją postawię,
Dzień jest przecież do roboty,
A ta myśli o zabawie!

Na to mama: Już ja tobie
Podam sposób na lalczą,
Usiądź sobie tutaj przy mnie
I do ręki weź książeczkę.

Nie zagłądaj przez dzień cały
Do lusterka, ucz się ładnie,
A zobaczysz, że i lalkę
Do tych minek chęć odpadnie.

Chcesz poprawić swą lalczą,
Pracuj pilnie, pracuj szczerze...
Bo ci powiem, moja Julciu,
Ona z ciebie przykład bierze!

M. Koropnicka.

Spracowana.



Moi ludzie, czy wy wiecie,
Żem ja bardzo spracowana,
Nie spoczęłam sobie przecie,
Ani chwili dziś od rana.

Trza się było ubrać grzecznie,
Umyć buzię, rączki, szyję,
Od tej pracy moja mama
Nie zwolniła mię, jak żyję!

Po pacierzu i śniadaniu
Byłam z mamą na spacerze,
Bo mamusia do ogrodu
Zawsze mię ze sobą bierze!

A dopiero za powrotem
Co to były za kłopoty!
Z memi sześciu laleczkami
Co ja miałam do roboty!

Tę myj, tę czesz, tamtę znowu
Naucz ślicznie abecadła—
A tę połóż do łóżeczka,
Bo mi czegoś dziś pobladła.

Przecież nieraz i mamusia,
Choć mnie jedną ma córeczkę,
Mówi niani:— Zabaw Zosię,
Bo ja spocząć chcę troszeczkę.

Cóż dopiero o mnie mówić?
O mnie, co mam tyle dzieci!
Wśród tej pracy i kłopotów
Czas mi jak na skrzydłach leci!

N—a.

Bajka o szybce.



W oknie była sobie szybka, taka czysta i taka przezroczysta, jak w waszym pokoju.

Był wieczór, na dworze ściemniało się coraz bardziej. W pokoju przy stole siedziało kilkoro dzieci, a na ulicy pluskał deszczyk, taki drobny, jesienny deszczyk. Padał na dachy, na ziemię, uderzał kropelkami o szybkę i tak szemrał do niej:

— Na dworze ciemno i brzydko, u was w pokoju tak cicho, przyjemnie, wpuść mię, szybko, na chwilę do pokoju.

— E nie— odpowiedziała szybka — nie wpuszczę cię, bo zmoczysz podłogi i ściany.

Poszemrał wietrzyk, poszemrał, aż wreszcie poszedł sobie dalej.

Na dworze ściemniło się jeszcze bardziej, a na polach zahuczał wicher. Huczał, jęczał, stękał i leciał coraz dalej. Zbliżył się wreszcie do domu, zastękał w kominie, zaszumiał wśród drzew, zapukał do okna.

— Och, biedny ja, nie mam nigdzie chaty ni domu, włóczę się po świecie bez końca. Wpuść mię szybko do pokoju! Odpocznę sobie i pójdę dalej.

— Nie— odpowiedziała szybka—nie mogę cię wpuścić, zdmuchnąłbyś lampę, przewracał meble, a co byś zimna przyniósł!

Zahuczał, zaszumiał, zajęczał wiatr, lecz cóż zrobić z upartą szybką?

Stuknął w nią raz i drugi i poszedł sobie w świat.

Na dworze robiło się coraz zimniej. Jasne, drobniutkie kropelki deszczu zamieniły się od zimna w śnieg. Z początku płynęły one jako siwe chmurki po niebie, później zaczęły padać na ziemię, jako białe, leciuchne gwiazdeczki. Padały wolniutko, coraz niżej, niżej, kładły się na gałęziach drzew, na dachach, spadały na okna, muskając delikatnie szkło szybki.

— Szybko moja—szeptał łagodnie biały, mięciuchny śnieżek — u was w pokoju tak ładnie, tak ciepło, lampa świeci żółtawem oczkiem, dzieci śpią słodko w białych łóżeczkach, wpuść mię, kochana, do was na chwilkę! Żle mi tu na dworze, wiatr pędzi to w tę, to w drugą stronę... Sprzykrzyło mi się ciągle fruwanie, wpuść mię na chwilkę, kochanko.

— Cóż znowu—odpowiada szybka—sam nie wiesz, czego chcesz, gdybym cię wpuściła do mieszkania, stopniałbyś od razu, a w pokoju zostałyby strugi wody. Idź lepiej w świat, fruвай jak ptaszek w powietrzu, a gdy się zmęczysz, uczep się drzew lub połóż na ziemi.

Zaszeleściał biały śnieg, zatrzepotał w powietrzu i porwany przez wicher, poleciał daleko.

O samej północy ucichł deszcz, śnieg i wiatr. Niebo wypogodziło się, a z poza chmur wyjrzały drobne, srebrne gwiazdki. Świeciły one jasno, mrugając oczyma, jak małe, figlarne dzieci.

Na ziemi ucichło wszystko, a po świetle zaczął się skradać srebrzysto-biały mróz. Zatrzeszczał w gałęziach drzew, ściał lodem rzeki, rozwiesił białe sople u dachów i zajrzał przez szyby do domu.

— Szybko, przezrocyste szkiełko moje, usuń się trochę z drogi, bo chcę wejść do pokoju, żeby porozwieszać u sufitu igły z lodu, pomalować ściany w białe kwiaty, przypruszyć szronem włosy śpiącej dziatwy.

— Ach, ty okrutniku—odrzekła szybka — miałbyś serce męczyć tak biedne maleństwa? Nie wpuszczę cię! Od twego oddechu zmarzłyby drobne, słabe ciadka. Idź, gdzie chcesz, nie wpuszczę cię, bo wprowadziłbyś z sobą śmierć lub chorobę do tego pokoju.

Rozgniewał się srebrzysto-biały mróz, roziskrzył z gniewu i pomalował czyste szkło szybki w białe kłosa i kwiaty.

— Nie chcesz—mruzczał złośliwie—to rozsiądę się na szkle twojem i będę siedział do białego rana.

Patrzy szybka, aż tu na gładkiem szkle wyrastają kwiaty, kłosa i liście.

Na niebie błysnął księżyc, błysnął i spojrzał na szybkę. Lodowe kwiaty zaiskrzyły się, jak brylanciki. Zajrzał księżyc do pokoju i oświetlił twarzyczki śpiącej dziatwy.

— Mój księżycu, mój srebrny miesiączku—prosiła szybka—spędź ze mnie lodowe kwiatki mrozu.

Ale księżyc nic jej nie odpowiedział, tylko zaczął zwolna iść po niebie.

Szedł tak długo, długo, dopóki nie zaświtał biały ranek.

Dzieci obudziły się wcześniej i zaraz pobiegły do okna. Chciały wyrzeć na świat, lecz nic nie było widać, oprócz lodowych kwiatów i liści.

— Jakież to śliczne kwiatki! Któż je wymalował? pytały dzieci.

— To ja, to ja—syczał mróz, ale tak cicho, że go nikt nie słyszał.

Na niebie błysnęło słońce. Wstało ono dziś późno i jak ospałe dziecko, mrużyło duże, złociste oko. Podnosiło się zwolna na niebie, spoglądając z poza jasných chmur na lasy, góry, domy, na drzewa, na ludzi i okna.

— Słoneczko, moje oczko złote—przemówiła szybko—spójrz na mnie, zobacz, jaką krzywdę srebrny mróz mi zrobił.

Złote promyki upadły na szybkę, głaszcząc ją i mówiąc:

— Biedactwo, biedactwo, poczekaj chwileczkę, zaraz stąd pana mroza odpędzimy.

Głaskały, pieściły, całowały szkiełko, ogrzewały, aż wreszcie stopniały w ich blasku srebrne kwiaty i liście.

Mróz odszedł, lecz ze złości rozplynał się we łzach, które dużemi kroplami toczyły się po szybce. Płynęły, płynęły łzy grymaśnego złoźnika, a szybka znów zajaśniała szkłem gładkiem i czystem.

— Czy wpuścisz mię do pokoju?—zapytało złociste słońko.

— Wpuszczę, bo ty przynosisz ludziom światło i zdrowie, wpuszczę cię, moje kochane, złociste oczko, mówiła radośnie szybka.

Słońko zajrzało przez nią do pokoju, rozjaśniło całe mieszkanie, i stało się w niem jasno, ciepło i wesoło.

L. Jakołkowska.





W noc zimową.



Śnieg sypie, sypie, wiatry nie głuchną,
Jęczą boleśnie i smutnie—
A mnie tak zimno, zimno, matuchno!
A mnie tak straszno okrutnie!
Rączki i nóżki jak bryłki lodu,
Na rzesach biały szron siada--
Zimno od góry, zimno od spodu,
Bezwładnie główka opada!
Wiatr głuży słowa biednej dzieciny,
Przymyka ciężkie powieki—
Jak wieki długie płyną godziny,
Noc straszna zda się trwać wieki.
O dziatki moje, gdy w noc zimową
Podczas śnieżystej zamieci
Dach zobaczycie nad własną głową,
W kominie ogień zaświeci,
I gdy niejedno w piersi serduszko
Wesoło dzwoni i skacze,
Przetrzyjcie oczki, nadstawcie uszko,
Czy gdzie sierota nie płacze.



Po śniegu.



Świeci śnieżek biały,	Leci śmiało, leci,
Iskierkami świeci,	Zaraz poznać zucha,
A Staś na saneczkach	Choć mroźny wiaterek
Niby ptaszek leci.	Prosto w twarz mu dmucha.



Dworek.



Bieluchny dworek, śliczne pokoje,
O, jakże ciepło w nich bezwątpienia,
Ale czy wiecie, dziecieczki moje,
Ilu to ludzi drży bez schronienia?

Każdy pokoik wasz ogrzewany,
To też na zimno nikt nie narzeka,
A u tych biednych przez wątle ściany
I wiatr przewiewa i deszcz przecieka.

Gdy was mateńka całuje, pieści
I niby anioł czuwa nad wami,
Uboga matka w niemej boleści
Karmi swe głodne dziecińcy—łzami.

O, pomnij dziatwo, że zawsze trzeba
Mieniem swem biednych obdzielać braci,
A za podany dzisiaj kęs chleba
Własne ci serce hojnie zapłaci.

Wł. Betza.





Krakowiak.



Krakowiaczek ci ja,
Któż nie przyzna tego,
Siedemdziesiąt kólek
U pasika mego.

Krakowiaczek ci ja,
Krakowskiej natury,
Kto mi włązi w drogę,
Ja na niego z góry.

A jak sobie utnę
Krakowiaka z nogi,
Pójdą wiehcie z butów,
A trzaski z podłogi.

Uderzmy w podkówki,
Niech przyzna świat cały,
Że krakowski taniec
Wart jest wiecznej chwały.



Śnieżka.



Śnieg padał od samego rana nieustannie, ulice i trotoary były białe. Gromadka chłopców biegła, wydając radosne okrzyki, zgarniając wesoło mokry śnieg rękami i lepiąc z niego twarde, ciężkie kule, którymi częstowali się nawzajem wśród śmiechu i okrzyków.

— Bah! Janek dostał w plecy.

— A Stach w nos, ha, ha, ha!

— Ostrożnie, chłopcy, odezwała się jakaś kobieta, chustką się zasłaniając od pocisku.

— Bronka! Józka!

— Masz! Masz! Masz!

Śnieżne kule krzyżowały się ogniście, jak podczas prawdziwej bitwy.

— Dajcie pokój, urwisy, — zawołał przechodzień, rozpędzając ich laską.—Do ogrodu z taką zabawą.

Chłopcy się rozsypali, zbierając tymczasem świeży śnieg na nowe kule.

— Bah! bah! bah! i rozpoczęło się rzucanie.

Julek odszedł, bo twarz mu spuchła, więc posyłał za nim śnieżki na pożegnanie.

Wtem z przeciwnej strony ulicy rozległ się krzyk okropny i staruszek, któremu kapelusz spadł z głowy, zasłonił twarz rękami.



77.

Ludzie otoczyli go natychmiast, głośno opowiadając sobie, co się stało. Stłukli mu okulary i szkło uwięzło w oku. Nieszczęśliwy! Ach, urwisy, niegodziwcy, rozbójniki!

— Kto to zrobił?—rozległy się naraz pytania, gdy doktor z pogotowia zajął się ranionym. — Kto?—Kto?

Chłopcy przerażeni rozbiegli się na wszystkie strony, ale nie śmieli odejść,—stanęli z daleka i zbliżali się bardzo powoli, nieśmiało. Winowajca, okropnie bładny, szedł ostatni.

— To ty—szeptali chłopcy.

— Niechcący przecież — nieumyślnie— tłumaczył się przerażony.

Naraz ktoś wskazał dużego wyrostka, który szedł z paczką i miał jeszcze w ręku świeżą śnieżkę.

— To ten! to ten! Trzymać go! Niegodziwca! Kara! Na sucho to nie ujdzie. Bierzcie go! Trzymajcie!

I zaczęli szamotać chłopca, który się wyrwał, twierdząc, że wcale nie rzucał śniegiem ani kamieniami. Nikt mu jednak nie wierzył,

— Przyznaj się Bronku — szepnął jeden z chłopców.—Nie można pozwolić, żeby wzięto niewinnego.

Bronku jeszcze się wahał, — drżał i miał łzy w oczach.

Właśnie w tej chwili wezwany policyjant położył rękę na ramieniu chłopca, którego uważano za sprawcę nieszczęścia.

Wszyscy chłopcy zwrócili spojrzenia na Bronka, a on drżeć przestał, oczy mu błysnęły, twarz poczerwieniała. Szybko przecisnął się pomiędzy tłumem i zapukał do sklepu, gdzie wniesiono starca. Ludzie myśleli widać, że to wnuk nieszczęśliwego, bo natych-

miast mu otworzono, choć nie wpuszczali nikogo, — a on teraz zasłonił oczy i zawołał z płaczem —

— To ja zrobiłem! — Nieumyślnie! — Nie dajcie brać tamtego.

Według Amicisa.



B r o n e k .



Dalszy ciąg Snieżki.

Bronek był synem stolarza, lecz w szkole go nazywano „tandeciarzem,“ bo zbierał śmiecie wszelkiego rodzaju, którymi potem handlował. Wszystko dla niego miało wartość: zapisane kajety, zepsute stalówki, pognieciony papier, bibuła, guziki, kawałki świec — wszystko umiał spożytkować albo sprzedać za parę groszy. Najbardziej jednak chciwy był na marki. Zbierał je skrzętnie i klejał podług krajów do kajetu, który zapełniał się zwolna i stanowił w jego oczach skarb ogromny. Pysnił się nim niezmiernie i wyobrażał sobie, że dostanie za niego w sklepie kilka rubli, gdy cały się zapełni... Koledzy mówili, że nie miał nic droższego nad ten zbiór marek i żeby go nie oddał za nic w świecie.

Nazajutrz po wypadku z kulą śnieżną skaleczony staruszek z okiem obandażowanym siedział na fotelu pod oknem, gdy ktoś zapukał do drzwi.

— Otwórz, Ludwisiu — rzekła do syna kobieta, zajęta robotą obok starca.

Ludwiś spojrział na matkę i na dziadka, potem wstał od stolika, przy którym odrabiał lekcye i poszedł otworzyć.

We drzwiach ukazał się Bronek. Stał nieśmiało, z głową spuszczoną, wszedł, wahając się, i z wolna zbliżył się do starca.

— To ty, mój chłopcze — rzekł chory łagodnie — przyszedłeś się dowiedzieć, jak się miewam? Nieźle. Doktor mówi, że może i nie stracę oka.

Bronek patrzył na starca smutnie i nieśmiało, nic nie mówił, ale nie ruszał się z miejsca. Zdawało się, że chciałby coś powiedzieć, a nie może, czy nie śmie.

— Czy chcesz mi jeszcze co powiedzieć, moje dziecko? zapytał staruszek łagodnie.

— Nie... nic...

— To idź spokojnie, — może nie będzie nieszczęścia. Za parę dni doktor powie mi napewno, może wstąpisz się znów dowiedzieć. Dziękuję ci, że przyszedłeś.

Bronek zawahał się jeszcze, wreszcie prędko i niezgrabnie uklonił się i zwrócił ku drzwiom. Tu jednak znów się zatrzymał. Wyjął z pod płaszczyka dość duży pakiet, położył go na stole przy książkach Ludwisia i mówiąc niewyraźnie »To dla ciebie« — wyszedł.

Ludwiś rozwinął pakiet z ciekawością: był w nim sławny kajet Bronka, prawie już zapełniony markami. Na wierzchu na białej kartce znajdował się napis: „To dla ciebie.“

Bronek oddał swój skarb najdroższy.

Według Amicisa.



Witaj, wiosenko!



Witaj, wiosenko, witaj nam, miła,
Gdzieżeś tak długo, królowno, była?
Oj, zatęskniły do ciebie dzieci,
Bo w zimie słabo słoneczko świeci.
A gdy śnieg bieli łąki i gaje,
Ulata ptactwo w dalekie kraje,
Kiedy na świecie skrzy się mróz tęgi
I ścina lodem strumyków wstęgi,
Gdy taka głucha pustka wokoło,
To i nam dzieciom nie jest wesoło.
Witaj, wiosenko, witaj nam, miła,
Bardzom za tobą, bardzom tęskniła,
A ty mi dzisiaj za to, wiosenko,
Umajasz sady swą szczodłą ręką,
Więc za tę zielen, za kwiecica morze
Dzięki, królowno! dzięki ci, Boże!

K. Lewandowski.



Do wiosny.



Oj, wiosenko, wiosno miła!
Ledwoś przyszła, ty flutko,
Jużeś ziemię przystroiła
Sukieneczką zieloniutką.
W nowe szaty pola, wzgórk
Pełą kwiatów stroisz ręką,
I skowronka pchnęłaś w chmurki,
By zadzwonił nam piosenką.
Brzmi słowiczka głos w leszczynie,
Dzięcioł puka w pniaki stare,
Sznur żórawi w chmurach płynie
I świergocą wróble szare.
A powietrze takie świeże,
Aż iść w pole chętką bierze.
Hej, co żywo na dwór, dzieci!
Prędzej z izby, więźnie mali!
Tak przesłicznie słońce świeci,
Ślicznie świeci, a nie pali.
Żywo dziatki, do zabawki!
Szkoda jednej czasu chwilki:
Zbierać kwiatki, zrywać trawki
I płochliwe gnać motylki!
Goń, chłopczyno, za chłopczykiem,
Za łąteczką, muszką złotą,
A dziewczynki nad stramykiem
Z świeżych kwiatów wianki plotą.
I niech zabrzmie pieśń radosna,
Bo to wiosna! wiosna! wiosna!

Wł. Anczyc.



Wiosna.



Ptaszeta świergocą na tej całej łące,
Blasków mnóstwo wkoło, a kwiatów tysiące,
Tu się wiatrak kręci, a tu strumyk płynie,
Tutaj rośnie zboże, słychać turkot w młynie.
Tu się las zieleni, tu ptaszki świergocą,
Jaskółki wracają i żabki rechocą,
W tym jasnym strumieniu mała rybka pluska,
Tylko jej pod słońce świeci srebrna łuska.
Dzieciaczki się cieszą i w ręczki klaskają,
Że minęła zima, że już wiosnę mają,
Dziękuję ci, Boże, za kwiaty, za trawy,
Już nam nie zabrakie wesołej zabawy.

Z. Plewińska.



Piosenka wiosenna.



Tam wśród gaju wietrzyk chłodny
Listkami powiewa,
A w gęstwinie słowik drobny
Tak żałośnie śpiewa.
Przed gaikiem łąn pszeniczny
Słoneczku się kłania,
I w poranek płyną śliczny
Fujareczki grania.
A z kościółka słychać dzwony,
Chłopek w polu orze,
Pług ma w wołki zaprzężony,
Modli się w pokorze.

Z. Plewińska

Pan Bocian.



Szedł sobie po mokrej łące pan Bocian długonogi, oglądając się uważnie, czy gdzie nie czeka na niego śniadanie.

Wtem patrzy: siedzi żaba. Wyborny przysmak! Zbliża się, dziób otwiera, szeroki, ogromny—wtem przestraszona żaba krzyknie z całej siły:

— Aj, panie Bocianie! Nie zjadaj mnie! nie zjadaj!

Bocian się rozgniewał: cóż ten głupiec sobie myśli? A na cóż ją Pan Bóg stworzył?

— Dobra jesteś, moja żabo—mówi z oburzeniem—a ty sama nie zjadasz ślimaczków, robaczków, co też żyćby miały ochotę?

— Aj, panie Bocianie! aj, panie Bocianie! ja się tak okropnie boję!

— E, nie nudź, żabo,—nie mam czasu na rozmowę, głodny jestem i basta.

Trącił ją dziobem, otworzył go znowu szeroko, jakby jej chciał pokazać, którądy powędruje do jego żołądka, potem kiwnął się prędko i pęc!—prosto w kamień, na którym siedziała żaba.

Aż się zdziwił.—Gdzież ona? Ani śladu! A przecież była,—mówiła do niego?

Pokiwał Bocian głową, dziwił się, dziwił i poszedł.
A żaba pod krzakiem trawy siedzi w błotnistej
kałuży, nawet odetchnąć nie śmie.

Oj, oj, oj! jeśli Bocięk znowu ją spostrzeże!

Rozmowa z Boćkiem.



— Skądżeś to wrócił, ty boćku siwy,
Na nasze łąki, na nasze niwy?

— Z dalekiej strony, z za siódmych mórz,
A za mną wiosna idzie tuż, tuż...

— A czemu, boćku, gdy spadną szrony,
Lecisz, uciekasz w dalekie strony?

— Tam słońko świeci, jak długi rok,
Barwiste kwiaty radują wzrok.

— A czy ci nie żal rzucać tej ziemi,
Gdy pod śniegami drzemie srebrnemi?

— Oj, żal mi łąk tych, gdy lecę w dal,
I chat wieśniaczych — oj, żal mi, żal!

— To zostań, boćku, zostańże z nami!
Czy tu nie ładniej, niż za morzami?

— A czemże tutaj wyżywię się?
A czem nakarmię pisklęta swe?

— Są przecie grzyby, jest w snopach zboże,
Owies, pszenica—lubisz je może?

— Za te przysmaki całuję rączki,
Ja wolę żaby, albo zajączki,

Or-Ol.





K o g u t y.



Na dziedzińcu przy kurniku
Krzyknął kogut—kukuryku!
— Kukuryku! krzyknął drugi,
I dalej w czuby.
Biją skrzydła, jak kańczugi,
Dziobią dzioby,
Drań pazury
Aż do skóry.
Już krew kapie, pierze leci,
Zmyka z drogi kogut trzeci,
A wtem indor krzyknął:—Hola!
I stała się jego wola.
— O co idzie? o co chodzi?
Indor was pogodzi.
Na to oba, każdy sobie:
—Przedrzeźniał się mej osobie.
—Moi panowie,—
Indor odpowie
—Niepotrzebnie się czubiło,
Przedrzeźniania tu nie było,
Obydwa z jednej zapialiście nuty,
Boście obydwaj koguty.
Kiedy głupstwo jeden powie,
Głupstwo drugi mu odpowie,
Z tego kłótnie i rozterki,
I wstyd tylko wielki, wielki!

A. Fredro.



Mała gosposia.



Gdy się zbudzę, wnet biegnę
Na podwórze z koszykiem,—
Tam gołębie i kurki
Opadają mię z krzykiem.

Ja im sypię perlowe
Ziarna albo też groszek,
Bo dostałam od mamy
Parę ślicznych kokoszek.

Potem mleko na spodku
Dla mych kociąt przynoszę.
A każdziutkie tak ładne,
Że aż spojrzeć nań proszę.

Potem kwiatki na grzędzie
Pilnie z chwastu opieję,
Potem—jeszcze zostaje
Do zrobienia mi wiele!

Toż mateczka na czole
Nieraz całus mi składa,
Mówiąc, że chociaż mała,
Tom gosposia nielada.

T. Lenartowicz.



Żarcik.



Hen, daleko, za rzeką obudziło się słońko ogniste, otworzyło jasne oko, mrugnęło złotemi rzęsami— i cały świat się zbudził.

W krzakach, na drzewach, ozwały się ptaszki, jakby śpiewały: Witaj, słońko! witaj! Dzień dobry ci, dzień dobry! Chwała Bogu za noc szczęśliwą!

I owady budzić się także zaczęły i wypęłzać powoli na słoneczną stronę, żeby się ogrzać w ciepłych i jasnych promieniach.

W kurniku kogut wrzasnął: kukuryku! A cóż to znowu, że nas tu trzymają jeszcze w tej komórcie bez światła! Hej, pani gospodyni! Cóż to imość zasnęła? Nam pilno, hej, otwórzcie!

I tak hałasował, że najpierw kury zaczęły pomagać mu wszystkie i gdakać gwałtu, żeby im drzwi otworzono; potem kaczki z oburzeniem zaczęły się klócić, że i one przecież mają prawo krzyżeć;—za przegrodą odezwały się poważne gęsi: to nie do wytrzymania taki hałas! To nie do wytrzymania! Przez to nas nie słyhać! Indyk wrzasnął ze złością—aż nakoniec Żarcik, pies podwórzowy, też sobie pomyślał, że pani gospodyni dziś zasnęła.

Miał on noc pracowitą, bo co chwila ktoś przejeżdżał

drogą, niewiadomo, skąd i poco, więc go trzeba oszczać, żeby wiedział, że tutaj stróż pilnuje; — to znów piechotą ktoś przechodzi obcy,—a to już bardzo trzeba na to zważać, bo czego szuka w nocy? To znowu w stajni jakoś niespokojnie, trzeba zbudzić fornali, żeby się tam co nie stało; a i ten kurnik też kłopot niemały, bo tylko pilnuj, żeby tchórz lub kuna nie podkopały się do niego.

Więc nie spał Żarcik w nocy, ale kiedy poszarzało, był już bardzo zmęczony i zdrzemnął się na jedno oko. Mogłaby gospodyni wstać już sama na czas, nie pozwalając na taki hałas.

Eh, trzeba ją obudzić, niema rady, pomyślał w końcu, puścił się do oficyny i prosto we drzwi jej: buch! buch! i piszczy, i skrobie!

Ale wnet pomiarkował, że gospodyni w kuchni. Nie spała już, ale była tak zajęta, że nie miała czasu otworzyć kurnika, bo trzeba dać co prędzej jeść pastuchom, żeby pognali bydło na poranną paszę, póki słońce nie pali.

Żarcikowi się podobało jej zajęcie i zaraz chciał jej pomódz, żeby było prędzej, więc wylizał miskę pokaszy, powąchał mleko w garnku, stojące na ławce, w drugim umaczał język, ale dostał łyżką po pysku, więc się domyślił, że to dla kogo innego. Cofnął się i przypomniał sobie zaraz, po co tu przyszedł, szczeniął raz i drugi, poskoczył ku drzwiom, pisnął, znowu szczeniął! aż gospodyni krzyknęła na chłopca:

—A idź ino, Wojtek, zobacz, co ten tak wyszczeniakuje.

Więc Żarcik do kurnika, Wojtek za nim, drzwi otworzył i całe towarzystwo z gęganiem, kwakaniem,

gdakaniem wysypało się na podwórze. Gwałtu, cóż to był za hałas! Każda geś po kolei wyrażała swoją naganę, że je tak późno wypuszczono, kaczki także musiały wypowiedzieć swoje, kury zaraz pokłóciły się z indykiem o tłustego robaka i o mało nie przyszło do bójki. Na szczęście Żarcik wiedział, co ma robić, i zaraz też porządek został przywrócony: kaczki i geśi odpędził do stawu, rzucił się między kury, indyka przepłoszył i każdy poszedł sobie w swoją stronę i zajął się swemi sprawami, wygadując tylko pod nosem.

Zmęczył się tem bieganiem i po niedospanej nocy miałby także ochotę na śniadanie, więc zwrócił się do kuchni. Może się prześni potem. Spojrzał jednak na drogę, czy z tamtej strony niema jakiego niebezpieczeństwa. Spokojnie. Grzela bydlę wypędził z obory, możeby mu wypadło trochę pomódz? Śniadanie czy robota?—zawahał się Żarcik, a wtem spojrzy—ktoś nie zamknął furtki od ogrodu i czarna krowa już się tam dostała, a pastuch nic nie widzi.

Szczeknął Żarcik co siły i jak strzała pomknął wprost do ogrodu. A tutaj ciężkie bydlę depce śliczne grzędy i jeszcze nieporządek zostawia na ścieżkach. Gwałtu-rety! Gwałtu-rety! szczeka Żarcik i zabiega jej drogę i chwyta za nogi i woła na pastucha,—Ach, ty gapo, żeby też bydląt swoich nie policzyć!

Policzył je wreszcie Grzela i wnet pomiarkował, że Czarnula została gdzieś po drodze, — wraca tedy, a Żarcik już ją wyгнаł na podwórze. Weź-że sobie, niezdaro, co do ciebie należy.

A to dziś praca od samego rana! Miska tam pewno czeka, ale tu wrota na drogę otwarte, tu ogród niezamknięty, jakże odejść? Oj, ci ludzie, ci ludzie,

co o niczem nie pamiętają! Wszystko na tej psiej głowie.

— Żarcik! A pójdź tu!—rozległ się głos gospodyni i pies skoczył ku budzie, gdzie już stała miska, pełna czegoś pachnącego, wybornego.

Hap! Hap! Hap!—je tak prędko, jak gdyby przeczuwał, że za chwilę z wieprzakiem będzie znów gonitwa, potem z kurami wojna o wstęp do ogrodu, potem z panienkami miłe powitanie, a potem straż przy wrotach, przez które co chwila wejść może jaki obcy, co ma złe zamiary. Każdego trzeba oznajmić natychmiast.

Oj, to podwórze, coby się tu działo bez pana gospodarza: psa Żarcika?



B u r e k.



Słuchaj, Burku, psie niegrzeczny,
Z tobą tylko kłopot wieczny:
W głowie psoty i figielki,
A do pracy — próżniak wielki.

Wszak mówiłam, ty niecnoto,
Nie strasz kurcząt, nie leż w błoto,
Nie płosz gąsek, co nad wodą
Swe gąsiątka rzędem wiodą?

Ty słuchałeś z korną miną,
I cóż z tego? Przed godziną,
Powiedz, czemu to w kurniku
Było tyle wrzawy, krzyku?

Kto gąsiątka zdusił młode?
Kto to w kuchni zrobił szkodę?
Kto stłukł garnek?—No, a potem
Kto w kałużę skoczył z błotem

I powalał suknię mamie?
A pamiętasz tam, przy bramie,
Kiedy przyszedł dziadek siwy,
Głodniusieńki, ledwie żywy,

Kto poszarpał mu ubranie?...
No, odpowiedz, tylko szczerze...
Acha, milczysz, mościpanie?
Wstyd i żal cię teraz bierze?

Otóż słuchaj, psie mój stary:
Dzisiaj ujdiesz srogiej kary,
Tylko Burka nie popieszcze,—
Lecz gdy spsocisz mi raz jeszcze,

Żadna prośba nie pomoże,
Nałożymy ci obrożę,
Przywiążemy cię na sznurku,
A co wtedy będzie, Burku?

M. Dynowska.



W o j n a.



Ktoś, pragnąc nakarmić Burka,
—Inaczej myśleć nie trzeba—
Porzucił raz wśród podwórka
Dosyć spory okruch chleba.
Dwa kogutki, gdy spostrzegły,
Obadwa razem przybiegły,
 To ten dzióbnie,
 To ten skubnie,
Aż wtem swary, aż wtem krzyki:
Kukuryku! Kikiryki!
To dziobami, to szponami,
Już z grzebieni krew się broczy,
Już pierze leci garściami,
A wściekłością błyszczą oczy...
Wtem biegnie kogutek trzeci
— Wszystkiej jednej matki dzieci—
Podczas kiedy wre tam zwada,
On cichaczem okruch zjada.
A choć niema już przyczyny,
Tamtą wojownicza para
Ciągle drze sobie czupryny...

Wtem nadbiega kura stara:
Nie żałuje dzioba swego!
Bęc jednego, bęc drugiego!
To w łeb, to w kark, gdzie się zmieści,
Aż zapiszczał jęk boleści,
I skulone, uśmierzone,
Poszły, każdy w swoją stronę.

Jaka z kłótni oczywista
Bywa korzyść,—wiecie, dzieci?
Dwu ma guzy, a korzysta
Zwykle trzeci.



Do jaskółki.



Na co tobie, jaskóleczo,
Słowicza piosenka,
Gdy szczebiocesz, a gniazdeczko
Lepisz u okienka?
Gdy o świcie głos twój kwili
Na pogodny dzionek,
Nie zanucą sercu milej
Słowik ni skowronek.
Z pól i gajów tylko echa
Brzmią ich piosnek głośnie,
Ty—gdzie szara nasza strzecha,
Stąd nam głosisz wiosnę.

A. C.





O ptaszkach.



Powracają ptaszki już
Z za dalekich sinych mórz.
Z nich najpierwszy pan skowronek,
Co ma głosik, niby dzwonek.
Wiosna! wiosna! ludziom śpiewa
I do pracy ich zagrzewa.

—
A tam dalej bociek stary
Na wilgotne spadł moczary,
Jedną nogę pod się skulił,
Małą głowę w skrzydła wtulił
I klekoce na głos cały,
Że mu żabki spać nie dały.

—
Za bocianem jaskółeczka
Przyleciała do gniazdeczka.

Cieżka czeka ją robota,
Popsuł ściany wiatr, niecnota,
Lecz jaskółka nie bieduje,
Tylko gniazdko reperuje.

Przystrojona w szare piórka,
Nadleciała znów przepiórka.
— Jeszcze zboże zbierać czas,
Jednak, ptaszku, chodź do nas!

Jakieś śpiewy słyhać w lesie,
Echo nam ich odgłos niesie,
Niesie ku nam i powiada,
Że kukułka liszki zjada,
Że słowiczek nasz pieszczony
Już powrócił w nasze strony.



Sierota.



—Czego ty, sierotko,
Spoglądasz do nieba?
—A gdzie mam spoglądać,
Gdy mi czego trzeba?
Nie żyje już ojciec,
Nie mam i matuli,
To mnie Pan Bóg z nieba
Do siebie przytuli.



Sierota.



Brzydko było na dworze, deszcz padał, wiatr świszczął, gałęzie drzew poruszały się jak żywe, a niebo było szare, a na ziemi błoto. Więc też dzieci nie wyszły wcale na przechadzkę, ale usiadły z matusią przy oknie i Broniek kleił duży dom z tektury, a Helenka czytała. Czego dzieci nie rozumiały, to mama im tłumaczyła tak prześlicznie, że wołały słuchać tego, co mówiła, niż czytać choćby najpiękniejszą książkę.

Wreszcie ściemniło się i czytać wcale nie było można, więc Broniek i Helcia oparli mamie głowy na kolanach, a ona opowiadała im o dawnych czasach, o dziadku, który ten dom wybudował, o ojcu dziadka, co zasadził lipy, rosnące na podwórku, i jeszcze o ojcu tego dziadka, który jeździł na wojnę w zbroi i został zabity przez Turków.

Dzieci słuchały z wielką ciekawością, a gdy skończyła, nikt się nie odzywał, w pokoju było ciemno i cichutko. Więc przytuliły się do matki mocno, mocno, i przez chwilę tak siedzieli wszyscy razem, czując, że się bardzo kochają i że im bardzo dobrze.

Wtem zdawało im się, że słyszą płacz cichy. Helcia podniosła głowę, Broniek także. I znów cichutkie łkanie.

Mama zapaliła świecę, ale w pokoju nikogo nie było, więc razem z dziećmi weszła do sypialni obok. Tu pod piecem skulona siedziała Marysia sierotka i płakała, zasłoniwszy twarz fartuszkiem.

Marysia była córką biednej robotnicy, która niedawno umarła! Wtedy mama wzięła dziewczynkę do siebie, uczyła ją czytać, dała jej ubranie i łóżeczko w garderobie, gdzie sypiała z dobrą panną Urszulą, gospodynią. Wszyscy myśleli, że Marysi dobrze: miała robotę, bo każdy na świecie pracować musi, ale nie była nigdy głodną, miała się w co ubrać i ciepłe mieszkanie; więc czegoż teraz płacze?

— Czego płaczesz, Marysiu? — zapytała mama, zbliżając się do dziewczynki.

Marysia się podniosła, ale nie przestała płakać, choć widać było, że się chce powstrzymać.

— Co ci jest, dziecko? — powtórzyła mama, kładąc jej rękę na głowie.

Wtedy Marysia smutnie spojrzała na panią niebieskimi oczyma i wyszeptala cicho.

— Bo ja nie mam swojej matusi.

Wszystkim łzy stanęły w oczach,—mama przytuliła sierotkę do serca, a Helenka i Broniek ucałowali ją gorąco.

— Nie masz matusi—odezwała się mama łagodnie, kładąc rękę na jej główce—ale masz siostry i braci, Marysiu, którzy cię też kochają. Sam Bóg powiedział, że wszyscy ludzie są braćmi i trzeba, żebyśmy pamiętali o tem. Kto tylko swoją rodzinę kocha, ten jest też samolubem i myślę, że Helenka ani Broniś —

—O mamo, mamo!—zawołały dzieci—my kochamy Marysię, bo ona jest biedną, a teraz jeszcze więcej kochać ją będziemy, żeby nie była smutną.

I oboje wzięwszy sierotkę za ręce, zaprowadzili ją do swych zabawek, żeby się rozweseliła i zapomniała o smutku.

A mama patrzyła na nich i myślała: — nie, oni samolubami nie będą.

Łzy nieużyteczne.



— Czemu ty płaczesz?—Ach, drogi tato,
Bardzo mi smutno! Wybiegłszy w pole,
Dostrzegłem z dala pod wiejską chatą
Jakaś sierotę, nędzne pacholę.

Piesek złośliwie nastraszył dziecię,
A ono drżało, niby osina.
Biednym sierotom ciężko na świecie!..
Uściskał ojciec dobrego syna:

— Słusznie ci sływa po twarzy łezka,
Lecz czyś też dziecku pomógł, Stefanie?
Czyś swawolnego odpędził pieska?
Czyś dał sierocie własne śniadanie?

— Ach, nie, tatusiu, jam tutaj wrócił.
— Toś moje serce mocno zasmucił,
Bo łzy współczucia niewiele warte,
Gdy dobrym czynem nie są poparte.



Praca.



Dziewczynki miłe, niech was Bóg strzeże
Na próżnowaniu pędzić czas marnie,
Niech każda książkę, igielkę bierze,
Niech się do pracy z ochotą garnie.
Przy pracy szybko godziny biega,
A potem z waszej starczy roboty
Czy to na odzież dla ubogiego,
Czy na koszulkę biednej sieroty.



Pszczółka.



Jestem sobie skrzętna pszczółka,
Wesoło też żyję,
Znam na łące wszystkie ziółka,
W których miód się kryje.
Skoro wiosna się obudzi,
Pracuję dni całe,
I dla siebie i dla ludzi
I Bogu na chwałę.
Z miodu człowiek napój warzy,
Co go krzepi w trudzie,
Z wosku świece u ołtarzy
Zapalają ludzie.
Ot widzicie, moje dzieci,
Co to praca może,
Więc pracujcie, pilnie, chętnie,
A Bóg dopomoże.

Dziadunio.



Na wielkanoc pojechały dzieci do dziadunia, który miał pod Warszawą duży ogród i mały dworek.

Wiele było radości i okrzyków, kiedy wnuki wszystko oglądać zaczęły. Tyle rzeczy znalazły nowych. Tu szkółka młodych drzewek, tu trochę warzywa, tutaj inspekta, tu drzewa szczepione, co to będzie za ogród!

— Za ile lat, dziaduniu, mogą być owoce z tych drzewek zaszczepionych?—zapytała Mania.

— Za trzy, cztery, nie prędeej.

— O, tak długo czekać!

— Na wszystko trzeba czekać, moje dziecko.

— A w tej szkółce, dziaduniu, to jakie są drzewka? dopytywał się Stefuś.

— To gruszki, jabłonki, a tamto śliwki.

— Jeszcze takie małe! Kiedy z nich będą drzewa?

— Za lat 10, 15!

— O, dziadziu, to my chyba tego nie dożyjemy?

— Wy dożyjecie, a ja mogę nie dożyć.

Wnuki spojrzwały na niego zdziwione.

— Jakże, dziaduniu? To po cóżbyś sadził te wszystkie drzewa, jeżeli nie doczekasz z nich owocu?

Dziadunio się uśmiechnął.

— Czyż kto na świecie tylko dla siebie pracuje? zapytał. Nawet mała pszczołka miód nosi do ula, żeby dla innych było pożywienie, i z człowiekiem się dzieli za jego opiekę,— a człowiek, co od innych tyle doznaje dobrego, niczemby się nie pragnął braciom swoim odwdzięczyć? Kocham ludzi, więc jestem szczęśliwy, że jeszcze mogę być im pożyteczny i że choć mnie nie będzie, pozostanie dla nich owoc mojej pracy i życia. Czy wy tak nie czujecie?

— O, dziaduniu!—zawołali Stefan i Marynia i nic więcej powiedzieć nie mogli, tak im wstyd było ich słów nierozsądnych.



Dziadek.



Siwy dziadek stary,	Tylko ma sukmanę
Ma ze sto lat może,	Na grzbiecie łataną,
Tem się tylko żywi,	I ten kij sękaty,
Czem go kto wspomóż.	I torbę parcianą.
Nie ma on zagrody,	Na zmęczonych nogach
Ani własnej chaty,	Ma trepki lipowe,
Wszystko stracił w ogniu	I czapkę z barankiem
Przed dawnymi laty.	Na swą siwą głowę.

A w tej siwej głowie
Piosenek bez miary!
Pójdźże, nam zaśpiewaj,
Mój dziaduniu stary.

M. Konopnicka.



Dalej w pole.



Marsz, marsz, dalej w pole,
Marsz, drużyno cała,
Trzeba dobrze zorać rolę,
By nam plon wydała.

Hej, za brony, hej, za pługi,
Dalej do roboty!
Nie zbraknie nam, jak dzień długi,
Do pracy ochoty.

Zasiejemy wnet zagony
Żyta czy pszenicy,
Hej, za pługi, hej, za brony,
Marsz w pole! rolnicy!

Pracy Bóg pobłogosławi,
Piosnka trud osłodzi,
Więc kiedyśmy silni, żwawi,
W pole, dziarska młodzi!

J. Chrzęszczewska.



Sprzeczka.



— Pożycz mi, Antosiu, książki do czytania?

— Nie, nie mogę, bo mi poplamisz.

I spojrział z dumą na swoją półeczkę, gdzie wszystkie książki stały równo i porządnie, w całych okładkach, jak nowe.

— Nie poplamię—nieśmiało prosił Tadzio.

Lecz Antoś tylko ruszył ramionami. Kolega jego Tadzio nie był bardzo porządny, więc nie mógł mu zaufać.

— Bo ja nie znam ani Bitwy pod Raszynem ani Kraka i Wandy—jeszcze odezwał się Tadzio.

— To sobie kup. Ja nie mam książek na zniszczenie.

— O co wam chodzi?—spytał Staś wesóło, wbiegając do pokoju. Chcesz, Tadzio, książki? Dam ci. Wybierz sobie.

I poprowadził kolegę do półki, gdzie było dosyć książek leżących, stojących, dość zniszczonych i widocznie czytanych już nieraz.

— Masz Kraka?

— Nie mam, ale mam Chrobrego. Też ciekawy.

— Ja ci nie splamię.

— E, machnął Staś ręką—niewiele mu to już zaszkodzi. Każdy z was plami i niszczy, ale przynajmniej książka nie próżnuje. Żebyście się tylko starali kartek nie wydzierać.

Zabrał Tadzio Chrobrego, Antoś się uśmiechał.

— Nigdy nie będziesz miał książek w porządku, jeżeli nie przestaniesz pożyczać kolegom—odezwał się nakoniec. Patrz na moją półkę i porównaj ze swoją.

— Twoja bardzo piękna— rzekł Staś wesolo — ale co komu z niej przyjdzie? Sam raz przeczytasz książkę i nikt jej więcej do ręki nie weźmie. Nic dziwnego, że czysta, ale jaki z niej pożytek? Moje przynajmniej nie próżnują, chciałbym ich mieć jeszcze więcej i rozpożyczać wszystkie.

— Boś niedbały.

— Może—ale mi sprawia przyjemność dać książkę temu, kto chciałby ją czytać.

— Niech sobie kupi, to będzie szanował.

— Niekażdy kupić może, — a tyś nieużyty, jak ten skąpiec, co skarby zbiera, a nic nikomu nie da.

— Dam, kiedy będę uważał, że warto, a ty jesteś rozrzutnik, wszystko marnujesz i wkońcu nic mieć nie będziesz.

— Zobaczymy.

Jak wam się zdaje, dzieci, który z chłopców miał słuszność?

Franiuś.



Franiuś miał śliczne jabłuszko czerwone,
Pieści się z niem, na każdą obraca je stronę
I rzece: Szkodaby cię zgładzić z tego świata,
A przytem trzebaby dać połówkę dla brata.

Nie, nie, ja ciebie nie ruszę:

Cały rok cię chować muszę!

A potem... Nie, i potem! rzece mały sknerka
I schował je do kuferka.

Cóż się stało? Jabłko zgniło—

Jakże mu żal potem było!

St. Jachowicz.

Pies i krowa.



W dzień czerwcowy, piękny, skwarny,
Leżał sobie kundel czarny
Przy pachnącym stogu siana.
Wtem się zbliża zadumana,
Głodna, chuda, nędzna krowa,
I w te się odezwie słowa:
— Daj mi wiązkę, bracie miły,
A pokrzepię trochę siły.
— Ho! — odpowie kundel hardo,
Patrząc na krowę z pogardą, —
Nie wiesz, że to moje siano?
Że je dla mnie z łąk zbierano?
— Wszak go nie jesz? — rzeknie krowa,
A dla mnie to pasza zdrowa.
— Idź się pożywić do lasu,
A mnie nie przerywaj wczasu,
Tutaj miękko, wonno, chłodno,
Co mi tam, że komuś głodno,
Bylem tylko ja był syty —
Odparł kundel nieużyty.
Czy wiecie, kogo w bajce ten kundel oznacza?
Oto samolubnego, skąpego bogacza.



Podanie o skowronku.



Raz do oracza na jałowej ziemi
Zszedł Pan Bóg jego przyglądać się pracy,
A rolnik dumiał i patrzył smutnemi oczyma
Stwórcę go zapytał: [w ziemię.
— I jakże ci się wiedzie?
A on się ocknął i odrzekł: źle, panie,
Ciężko mi dźwigać taką pracę srogą,
A nie mam tutaj przy sobie nikogo.
I westchnął przytem żałością, głęboko,
Że miłosierny Bóg zwrócił nań oko.
Wziął grudkę ziemi, śmignął nią do góry,
A z grudki wzleciał ptaszek szaropióry,
I zatrzepotał skrzydełkami w górze
I zaczął śpiewać nad rolnika głową.
I odtąd w każdy pracowity dzionek
Witał go piosnką wesołą skowronek
I latał nad nim, nad głową się wspinał,
I miłosierdziu Boga przypominał.
— Śpiewaj, ptaszyno, Bogu o tej ziemi,
Którą do pracy budzisz tony swymi,
I o oraczach, co w tę ziemię czarną
W znoju i trudzie zasiewają ziarno.



Na grobach.



Wszystkie święta dzieci lubią, bo każde daje jakąś rozmaitość i przyjemną rozrywkę, najmilszemi jednak dla wszystkich są Gwiazdka i Wielkanoc.

Gwiazdka:—zielone drzewko, podarunki, orzechy, jabłka i bakalie, goście, zabawa, nowe książki, niespodzianki.

A Wielkanoc—baby i słodkie mazurki, stół ślicznie zastawiony, a na świecie ciepło, słońce już grzeje, wiosną pachnie powietrze, miło chodzić na groby. Na ulicach czysto, tłum na trotuarze płynie jak rzeka,—wszyscy poważnie wchodzą do kościoła, a tu cisza i smutek. Przy stoliku panie rozdają obrazki, ludzie składają na tacy pieniądze dla ubogich i na kościoły,—a w głębi—pośród światła, kwiatów, zieloności—grób Chrystusa.

— POCO to Chrystus umarł? — rzekła mała Andzia, kiedy wyszła z kościoła ze starszą siostrzyczką,—żebym ja była Bogiem, tobym wołała nie umrzeć.

Wszystkie dzieci rozśmiały się z małej pleciugi, ale Marynia, starsza siostra, rzekła:

— Śmiejecie się z Andzi, a może i same nie wiecie, dlaczego Chrystus umarł.

— Bo Go umęczyli!—śmiało zawołał Piotruś.

— Bo chciał umrzeć—odezwała się Anielka.

—Ale dlaczego chciał umrzeć i dlaczego pozwolił, aby go umęczono? — pytała dalej Marynia.

Piotruś i Anielcia spojrzeli na siebie, ale żadne nie umiało odpowiedzieć.

— A widzicie — rzekła Marynia. Więc zamiast śmiać się z Andzi, nim zrozumiecie dobrze znaczenie tego święta, tymczasem zapamiętajcie przynajmniej, że Pan Jezus umarł dlatego, ażeby ludzie lepiej pamiętali jego naukę i żeby mogli być szczęśliwi. Po to się urodził i dlatego umarł, żeby ludziom dać szczęście. Za to go też kochamy i obchodzimy tę wielką pamiątkę.

— Ale nie wszyscy ludzie są szczęśliwi — rzekł Piotruś po namyśle.

— Bo nie wszyscy wypełniamy naukę Pana Jezusa,—gdyby wszyscy ludzie tak żyli, jak On przykazał, byłoby na ziemi prawie tak dobrze, jak w niebie. Wszyscyby się kochali, niktby nikogo nie krzywdził, wszyscy pomagiliby sobie nawzajem. Przypominajmy sobie o tem podczas grobów, a może będzie coraz więcej dobrych ludzi na świecie, a przez to i więcej szczęśliwych.



Wielkanoc.



Jutro będzie Wielkanoc,
Babki w piec już wsadzone,
Gotują się kielbasy,
I mieć będziem święcone!
Najpierw obrus bielutki
Mama na stół położy,
Na nim stanie w pośrodku
Ten Baranek, ten Boży.
Chorągiewka czerwona,
A zaś kijek złocony;
Babka jedna i druga
Z każdej stać będzie strony.
Potem szynka ogromna,
W niej borówka zatknięta,
Na znak, że to radosne
I wiosenne są święta.
Obok będzie kielbasa
Na okrągłym półmisku,
I prosiątko pieczone,
Co jajeczko ma w pysku.
Jajkiem będziem się dzielić
Wszyscy w domu z kolei,
Życzyć sobie pociechy,
Życzyć sobie nadziei.
Potem będą mazurki,
Właśnie robi je mama,
A rodzynki, migdały
Obierałam ja sama!

Zrana przyjdzie ksiądz proboszcz
I poświęci stół cały,
Domek także pokropi,
By się dzieci chowały.
Tak się zrobi wesoło!
Tak słoneczko zaświeci!
Ach, już niema, powiadam,
Jak Wielkanoc dla dzieci.

M. Koropnicka.



↳ Dziecko i ptaszek.



Fruwa ptaszek, fruwa
Wysoko do nieba,
Ja też biegam szybko,
Jeżeli mi trzeba.
Leci ptaszek, leci,
Trzepie skrzydełkami,
Umiem i ja także
Zatrzepać rączkami.
Śpiewa ptaszek, śpiewa
Przecudne piosenki,
I ja się nauczę
Wierszy dla mateńki.
Ptaszek jest szczęśliwy,
Mnie nic nie brakuje,
Że nie jestem ptaszkiem,
Wcale nie żałuję.

J. Chrzęszczewska.

Krakowiak.



Wesoły, szczęśliwy
Krakowiaczek ci ja!
A mój konik siwy
Rażno się uwija.
Uwijaj się, rażno bież,
Podkówkami ognia krzesz!
Czapeczka czerwona
Na głowie mi płonie,
Pokazuje ona,
Że mi gore w łonie.
Gore serce, pędzi koń,
A dziewczyna klaska w dłoń!

Krakowiaczek ci ja,
Pędzę sobie żwawo,—
Kto mnie nie wymija,
Plunę w twarz kurzawą!
Bom ja pan, bom ja król
Wśród zielonych łąk i pól!
Wkoło szumi zboże,
Kłania mi się kłosem,—
Kiedy zbiorę, zorzę,
To pobrzękne trzosem.
A dziewczęta z całej wsi
Będą się przymilać mi!

E. Wasilewski.



Siwek.



Władzio dostał Siwka, kiedy skończył rok dziewiąty i niezmiernie przywiązał się do tego konia. Bo też i każdy lubił śliczne, mądre zwierzę, które pamiętano niedawno źrebakiem.

Siwek był synem klaczy, co pług ciągnęła po roli cierpliwie, albo wóz ciężki, ze zbożem, czy sianem, w bryczce chodziła także, kiedy było trzeba, nie leniła się do żadnej roboty i pracowitem życiem zasłużyła na prawdziwy szacunek całej stajni.

— Ej, ty leniwy Szpaku—mawiał fornal Jasiak—popatrzno na Bułankę, czy ją kiedy poganiać trzeba Oj! żeby wszystkie konie takie były, toby o bacie całkiem zapomniano.

— Może dlatego, kiedy urodził się Siwek, wszyscy okazywali mu taką życzliwość, pieścili go, dogadzali. Jasiak mu rozczesywał małą, krótką grzywkę, z ręki go karmił, czyścił delikatnie, a co chwila to poklepał go po grzbiecie, to pogłaskał po głowie, lub po nosie

A Władzio tak się cieszył, jak z braciszka, trudno go było wyprosić ze stajni.

— Ach, tatku, jakie on ma prześliczne kopytka! takie małe, okrągłe, a grube. A jakie nóżki zgrabne! Jaką zgiętą szyjkę! Łebek długi i zgrabny, ciemne,

szerokie chrapki, a oczy takie mądre, jakby rozumiał mowę.

Musiał chyba poznać, że Władzio jest dzieckiem, trochę tylko mądrzejszem od żrebaka, bo lubił się z nim bawić.

Był rzeczywiście ładny, bardzo zgrabny i dlatego ojciec Władzia przeznaczył go na wierzchowca i w czwartym roku darował synowi.

Co to była za radość, to opisać trudno.

Władzio jeździł nieraz na fornalskich koniach, czasem na Kasztanku ojca, ale mieć swego konia, to przecie rzecz całkiem inna.

Trzeba i dbać o niego. Władzio też o tem pamiętał, najczęściej sam go poił, zaglądał do żłobu, czy ma owies i siano, zważał, czy ma podściółkę suchą, słowem naprawdę troszczył się o niego, jak o towarzysza, a nie o zabawkę.

Siwek to pojmował i napewno wiedział, że do Władzia należy. Witał go zwykle rzeniem, kiedy chłopczyk wchodził do stajni, przybiegał na głos jego, brał mu z ręki cukier, a pod siodłem chodził spokojnie, jak dziecko.

To też ojciec pozwalał jeździć chłopczynie samemu. Raz powiedział do niego.—

— Jadę do Stawku (był to drugi folwark, o kilka wiorst odległy), możesz po obiedzie przyjechać po mnie, to wrócimy razem.

Władzio prędzej niż zwykle skończył lekcye i wesoło wyruszył w drogę. Trzeba było parę wiorst przejechać lasem, a choć zdawało mu się, że do Stawku trafiłby w nocy, jakoś jedzie i jedzie, a końca nie widać.

Już się trochę przestraszył. Cóż to znowu? Chyba z godzinę jedzie,—aż kości go bolą, a folwarku niema,

Ale—ba! godzinę! Słońce blisko zachodu, a przecie wyjechał o czwartej. Siwek zmęczony, głodny, co tu począć?

Tak mu było żal konia, że chociaż rozumiał, iż trzeba szukać drogi i jechać co prędzej, zsiadł i dał mu odpocząć.

Siwek, jakby rozumiał, co się dzieje, zaczął chrzypkami wietrzyć dookoła, potem zarżał kilkakrotnie, skubnął trawy na jakiejś łące, na której znaleźli i strumyk. Napili się obadwaj, Siwek podjadł trochę choć trawy, a tymczasem słońce już się skryło i Władzia strach ogarnął nie na żarty. Nie miał pojęcia, gdzie jest i w której stronie dom się znajduje. Jak kierować koniem?

Poklepał Siwka, pogłaskał, przytulił się do niego, jak do jedynego przyjaciela w nieszczęściu i wskoczył na siodło. Ale co teraz dalej?

A tymczasem Siwek, nie czekając rozkazu, rusza najspokojniej. Gdzie idzie, Władzio nie wie, ale nic nie mówi, — może Siwek mądrzejszy? Idzie tak spokojnie, jakby dobrze znał drogę. Jada lasem, lasem, szaro się robi, ciemno. Władzio nie był tchórzem, ale samemu w lesie nieprzyjemnie, kiedy się ciemno robi.

A tu coraz ciemniej. Jakieś głosy dziwne, coś się rusza w krzakach, lecz Siwek idzie równo i spokojnie.

Nagle widnieje coś, las się przerzedza i pole — znana droga — dworek widać, Powrócili do domu i nic się nie stało. Ale gdyby nie Siwek?

Mądre, śliczne zwierzę!



K o n i k.



Kary konik, kary, gwiazdkę ma na czole,
Jak mi się wypasie, pojedę na pole.
Pojadę na pole, pojedę na błonie,
A jak się rozhulam, to wiatry przegonię!

Kary konik, kary, pięknie osiodłany,
Pojadę ja na nim do mamy kochanej,
Pojadę do mamy, do ojca pojedę,
A choć konik bryka, przecież dam mu radę.



Nasz koniczek.



Nasz koniczek, nasz bułany,
Ślicznie zgrzebłem wyczesany,
Tylko na nim siartka świeci,
Tylko parska, rzy do dzieci.

Nasz koniczek nie płochliwy,
Da pogłaskać lśniącej grzywy,
Tylko nóżką przestępuje,
Gdy go trawką Jaś częstuje.

Nasz koniczek dobre zwierzę,
Leciuteńko trawę bierze,
Myśli sobie: ot, dziecina
Wczas już karmić mię zaczyna.

Jak urośniesz, miłe dziecko,
Poniosę cię, het po świecie,
Poniosę cię w kraj daleki,
Aż za góry, aż za rzeki.

A gdy zbiegniem wszystkie drogi,
To wrócimy w nasze progi,
Gdzie ten domek, dach pochyły,
Nadewszystko sercu miły.

M. Konopnicka.

Sianokosy.

Ach, jak ślicznie, ach, jak miło,
Że słońeczko zaświeciło!

Więc za grabie żywo łap,
Prędko, prędko siano grab!

Hej, próżniaku, patrz do góry,
Nadciągają czarne chmury,—

Gospodarzy przeszedł dreszcz,
Bo z chmur pewnie będzie deszcz!

My się skryjem, gdy ulewa,
Pod parasol lub pod drzewa,

Ale jak tę łąkę skryć?
Siano zmoknie — może zgnieć!

H. Patek.



S z a r u t a.



— Zajączek! Zajączek! — Ach, jaki malusieńki! jaki biedny! — Patrz, mamusiu, jakie ma maluśkie nóżki.

I Staś położył na kolanach matki małe drżące zwierzątko, z długimi uszami, krótkim, puszystym ogonkiem i króciutkimi przednimi łapkami. Było widocznie bardzo przestraszone, bo trzęsło się i patrzyło wielkimi oczyma, w których malowała się trwoga.

— Skąd go wzięłyście, dzieci? — zapytała matka. — Taki maleńki! Toż on potrzebuje matki. Któż go wychowa?

Ach, mamó, znaleźliśmy go na brzegu lasu. Sam był. Może mu matkę zabili albo zwierz jaki pożarł. My go wykarmimy. — Biedny, śliczny zajączek.

Mama poruszyła głową, ale nic nie powiedziała, — nie chciała martwić dzieci: niech spróbują.

Przyniesiono natychmiast mleka na spodku, zbiegli się patrzeć wszyscy domownicy: kucharka, pokojówka, Magdusia od krów i Wojtuś, co gęsi pasał,

nawet Burek i kotka szara, co miała kocięta na strychu, Szaruta.

Zajączek pić nie umiał. Maczają mu w mleku rozciętą mordeczkę, a on się broni, drapie, piszczy tak żałośnie, aż żal go męczyć. Wandzia ma łzy w oczach.

Magdzia radzi, żeby mu do pyszczka wlewać mleko łyżeczką. Więc probują. Trochę się wylewa, troszeczkę połyka, ale myśli widocznie, że mu krzywdę robią. I nie może się najeść temi kropelkami.

Zmartwiły się dzieci, — co to będzie? Umrze z głodu, bo przecież nie można męczyć go ciągle jeźdzeniem. Aż się spocił biedaczek, futerko ma mokre, pewno ze strachu.

Zrobiły mu posłanie w lalczynem łóźeczku, ułożyły, otuliły, — drży i siedzi szarak pod małą kołderką.

Wszystkim go żal: Burek popatrzył na niego, zlizął mokrym językiem resztki mleka z jego wąsów, zwiesił głowę i poważnie odszedł zadumany. Szara kotka otarła się prawym bokiem o łóźeczko, potem lewym, miauknęła coś, mruknęła, jakby udzielała rady, powąchała zajączka, liznęła go między uszami po główce, znowu coś miauczy bardzo mądrze i poważnie, wreszcie poszła do kociąt.

Jeszcze raz przed wieczorem probowały dzieci karmić zajączka, — wlały mu znów w gardło kilka kropel mleka, ale się zmęczył, wystraszył ogromnie i ciągle potem w kąt uciekał, do muru się przytulał i drżał cały.

— Pewno się nie wykarmi — rzekła smutnie Wańdzia, podsuwając szarej kotce spodek mleka, które miał wypić zając.

Kotka nie dała się prosić, wypła wszystko do kropelki, spodek wylizała, potem pyszczek i mokre wasy i jakby na podziękowanie powąchała znowu zajączka i pomruczała nad nim.

Nazajutrz Wańdzia jeszcze mocno spała, kiedy ktoś ją pociągnął za rękaw koszulki. Otworzyła oczy i ujrzała Stasia z minką tajemniczą i uradowaną.

— Chodź, chodź przedziutko! Zajac!

Zerwała się i pobiegła do jadalnego pokoju. Lecz na środku stanęła i złożyła ręce z wielkiego zdziwienia i radości.

Na dywaniku lalki leżała Szaruta, rozciągnięta, z dumną miną, a zajączek ssał sobie mleczko, jak u matki.

Dzieci przypatrywały się z daleka, żeby go nie przestraszyć, ale kiedy Szaruta wstała, porwały ją razem na ręce i o mało nie udusiły z serdeczności.

Dostała za to i mięsa i mleka, ale też pocziwa kotka sumiennie spełniała obowiązki karmicielki. Zaniesiono jej zajączka do gniazda i chowała go razem z kociętami. Tak było śmiesznie patrzeć, gdy się z niemi bawił! A krzywdy własnym dzieciom zrobić mu nie dała.

Kiedy podrósł, nauczył się jeść z kociętami i dokazywał z niemi od rana do nocy. Widać było, że podziwiają jego skoki, to też skakał na wszystkie strony, aż podnosiły grzbiety i pluły na niego. A na głos kotki taki był posłuszny, że to bawiło wszystkich. Duże już zajączysko skakało przez grzędy, jak koń rozbiegany, kiedy na niego miauknęła Szaruta. Kochali się widocznie.



Zajaczek.



Oj, pójdę ja sobie
Na to żytnie pole,
Zbierać będę maki,
Chabry i kąkole!

Oj, pójdę ja sobie
Oną wążką miedzą,
Zobaczę, czy w życie
Zajączki nie siedzą.

Już widzę jednego:
Zając długouchy
Wzniósł łebek do góry
I nastroił słuchy...

Oj, znać, że mnie dostrzegł, — Mój panie zającu,
Choć szłam bez hałasu, Porzuć ten strach pusty,
Bo skoki wyteżył Chodź do nas pod ogród,
I zmyka do lasu. Dam ci liść kapusty.

Nie słucha, wciąż zmyka...
— Znać rozum masz krótki,
Że ci, mój zającu,
Powiem bez ogródki.

Umykaj więc sobie,
Kiedys dzikus taki,
Ja idę rwać chabry,
Kąkole i maki.

M. Dynowska.



Mruczek.



Oj, ty kotku, ty niecotku!
Ciagle siedzisz na tym płotku,
Z ciebie, Mruczku, nicpoń wielki:
Ty czatujesz na wróbelki!

Przymrużyłeś jedno oko,
Niby to tak śpisz głęboko,
Niby zaraz zaczniesz chrapać,
A myślisz, jak ptaszka złapać!

Lecz nie uda ci się sztuczka,
Na nic trudy pana Mruczka,
Toć wróbelki skrzydła mają,
O, patrz, widzisz, jak zmykają?

Nie siedź próżno! zeskocz z płotka!
Myszka — to potrawa kotka!
Panie Mruczku, lepiej na nie
Urządź w kuchni polowanie!



Mysz i kot.



Mysz dlatego, że niegdyś całą książkę zjadła,
Rozumiała, iż wszystkie rozумы posiadała.
Rzekła więc towarzyszkom:—Nędzę waszą skrócę,
Spuście się tylko na mnie, ja kota nawrócę!
Posyłają po kota. Kot zawsze gotowy,
Nie uchybił minuty, stanął do rozmowy.
Zaczęła mysz naukę,—kot jej pilnie słuchał,
Wzdychał, płakał!—Ta widząc, iż się udobruchał,
Coraz bardziej wpadała w kaznodziejski zapał,
Wysunęła się z nory — a wtem kot ją złapał.

J. Krasicki.





Stara lipa.



Stała sobie na podwórzu stara, stara lipa, — taka była gruba, że Staś, Adaś i Lińcia, wzięwszy się za ręce, jeszcze jej objąć nie mogli; — a co na niej gałęzi, a co liści! Ktoby policzył?

Pod lipą stała wygodna ławeczka, tak wygodna, że babunia lubiła na niej siadywać, i tu zwykle opowiadała wnuczętom najpiękniejsze powieści.

Bo kiedy babunia była jeszcze małą dziewczynką, to ta lipa stała tak samo w tem miejscu i taka sama była gruba i poważna. Co ona musiała widzieć przez tak długie życie!

Babunia mówiła, że kiedy siedzi pod nią sama, to listeczki lipy szepcą jej cichutko bardzo stare histo-

rye, których ona tak samo słuchać lubi, jak wnuczęta jej opowiadań.

— Powiedz nam, babciu, co ci lipa opowiada — prosiły dzieci — myśmy takie ciekawe.

— To posłuchajcie, jeżeli was to zajmuje, ale to było tak dawno, tak dawno!..

Powiada lipa: — Kiedy wyrosłam z ziemi małym prątkiem i otworzyłam parę zielonych listeczków, to nie było widać dookoła, tylko drzewa i drzewa. Na drzewach żyły ptaki, a na ziemi zwierzęta, ale ludzi to nigdy nie widziałam i długo, długo nie znałam ich wcale.

A potem dużo razy była zima i lato i wyrosłam wysoka, ale taka cienka, że się bałam każdego mocniejszego wiatru, żeby mnie nie złamał.

I wtedy przyszedł tutaj jakiś człowiek, zaczął wycinać drzewa i budować chatę, a inni mu pomagali. Zbudowali sobie wszyscy razem dużą chatę i już stąd nie odchodzili. Zabijali zwierzęta, ptaki, łowili ryby w rzece, którą zobaczyłam z daleka, z pszczołami się zaprzyjaźnili i koło mnie zbudowali i dla nich domek, a potem się postarzel i umarli.

A ich dzieci postawiły nowe chaty i zrobiło się gwarno i wesoło; ze zdziwieniem patrzyłam, co oni umieją, jak każą zwierzętom pracować dla siebie, jak ziemię kują i zbierają zboże zasiane, jak ogniem świecą w czarne noce.

A potem ci umarli i znów byli inni, coraz nowi i nowi, z dzieci wyrastali ludzie, ludzie się starzeli, a ja ciągle jeszcze byłam młoda i młoda.

Drzew koło mnie ubywało coraz więcej i więcej, już z daleka tylko las widziałam, a za to dwór tu stanął, gdzie jest teraz, i wieś cała nad rzeką.

Raz usłyszałam śliczny głos o wschodzie słońca,— myślałam, że z nieba płynie, tak słodko powtarzał: —Do mnie! do mnie!—I potem dzwonił co dzień rano i wieczorem z tej wieżyczki kościelnej, co ją widać, zwoływał ludzi, a ludzie spieszyli posłuchać, co im powie.

Aż raz ogień objął wszystkie chaty we wsi, — spłonęły w ciągu nocy mimo krzyku ludzi. Nie mogłam patrzeć na to: wszystkie liście powiędły mi i poschły z przerażenia.

I dopiero w następnym roku zobaczyłam, że budowali dwór nowy i chaty, bo tamtych już nie było. Tylko kościółek został i jak dawniej woła słodkim głosem co rano, co wieczór: — Do mnie! do mnie! do mnie!

A w nowym dworku ludzie jak dawniej pracują, rosną i umierają, a ja stoję, patrzę i już nie umiałabym policzyć tych wszystkich, co pod cieniem gałęzi moich odpoczywali, jak oni nie umieliby zliczyć moich liści.

Przestała mówić babunia, a wnuki siedziały, patrząc na nią zamysłone: — jaka to stara musi być ta lipa i jak ona wiele w swem życiu widziała!



S ł o w i k .



Na różanym krzewie A tak śpiewa pięknie,
Siadł słowik maleńki, Taki głos uroczy,
Śpiewa, a nikt nie wie, Że aż serce mięknie,
Skąd on wziął piosenki. Zbiega łza na oczy.

Powiedz mi, słowiczku,
Śpiewna ty ptaszyno,
Dla kogo twe piosenki,
I skąd one płyną?

— Skąd me piosenki płyną? Kocham noc majową
Nie dziw się ni trocha, W księżycu pozłocie,
Śpiewa zawsze pięknie Gdy nad moją głową
Ten, kto mocno kocha. Świeci gwiazdek krocie.

Kocham krzewy, zdroje
I łąkę kwiecistą,
Kocham gniazdko moje
I strzechę ojczystą.

K. Gliński.



L e w.



Daleko, daleko, tam gdzie człowiek biały znieść nie może palących promieni słonecznych, na rozległej pustyni żył lew wspaniały i silny. Drżały przed nim wszystkie zwierzęta, lecz on, gdy głód zaspokoił, patrzył spokojnie na przebiegające gazy, wyciągając się na gorącym piasku. Pod ciemną skałą miał wygodne schronienie, gdzie lwica hodowała młode lwiątko: bo nie brakło w pustyni innych drapieżnych zwierząt.

Ale razu pewnego lew nie powrócił z łowów. Choć wzrok miał doskonały, uwikłał się w sieć, zastawioną przez człowieka i został wzięty do niewoli. Napróżno głodna lwica, patrząc na wschodzące słońce, przerażała rykiem pustynię, napróżno młode lwiątko wtórowały matce. Lew słyszał te wołania, ale skrepowany, w żelaznej klatce, leżał bezsilny w rozpacz. Oczy krwią mu nabiegły, głos ochrypl od ryku, piers dyszała z wysilenia.

Uwieziono go daleko od gorącej pustyni, do kraju, gdzie słońce blade rzucało promienie, gdzie wiatr zimny drżeniem przenikał mu członki, a ziemia co rok na kilka miesięcy okrywała się białym, zimnym płaszczem. Zamknięty w ciasnej klatce, król pustyni nędzne wiodł tutaj życie; daremnie spragniony ruchu rzucał się w swoim więzieniu, krążył wkoło jak wściekły, głuche wydając ryki. Nigdy, już nigdy nie podskoczy całą siłą swego ciała, nie rzuci się na

zdobycz, nie pobiegnie prędzej, nie wstrząśnie dumnie grzywą, nie spojrzy dokoła na rozległe, szerokie, swobodne przestrzenie. Wszędzie kraty, i ludzie ze strachem i ciekawością patrzą na nieszczęsnego niewolnika.

Biedny lew!



Złośliwy chłopiec.



Wer! wer! Burek, — huź! huź! brzydki,
Myślisz, że ja boję się?
—Ej, ej, Jasiu, porzuć zbytki,
Jak się urwie, będzie źle.
—Oho! łańcuch nie szpagacik,
A gdyby się urwał w mig —
Jak się urwie to mam bacik.
Wer! wer! Burek! zyg, zyg, zyg!
I wciąż Jasio drażni Burka,
To pręcikiem targa włos,
To znów krzyczy, łaje, szturcha,
Aż go cegłą palnie w nos.
Burek wrzaśnie, łańcuch trzaśnie.
Cap zębami! — Jasio w krzyk:
— Gwałtu! ratuj! aj! aj! uj!
I majteczki w kawałeczki,
I coś jeszcze...

— Psa nie szczuj!

Ot, masz Jasiu, zyg, zyg, zyg!

Wł. Anczyc.



Uciek!



Czemuś fruwał, ptaszku mały,
Ty, coś cieszył nas pieśniami,
Myśmy ciebie tak kochały,
Czemu nie zostałeś z nami?
Dzieci drogie, ukochane,
Dziękuję wam za pieśczoty,
Ale z wami nie zostanę,
Nie chcę waszej klatki złotej.
Gdyby was kto wziął do klatki,
Mimo pieśczot i osłody,
Żalby wam też było matki,
I gaika i swobody.



Czyżyk w klatce.



— Czegóż płaczesz? — staremu mówił czyżyk młody —
Masz teraz lepsze w klatce, niż w polu wygody.
— Tyś w niej zrodzon — rzekł stary — przeto ci wybaczę,
Jam był wolny, dziś w klatce, i dlatego płaczę.

I. Krasicki.



Motyl.



Motylka Józia złapała
I niesie go do matki.
— Wsadzimy go, mamó, do klatki,
I będę zabawkę miała.
— Nie, Józiu, odpowie matka—
Na motylka mała klatka,
Na motylka i dom cały
Jeszcze jest za mały.
Ktokolwiek się na świat rodzi,
Tego się więzić nie godzi.



Skarbonka.



— My jesteśmy bardzo biedni, proszę pani, tu jest świadectwo—mówił blady chłopczyk, wyciągając rękę, w której trzymał jakiś papier.

Mama wzięła papier, przeczytała, dała mu złotówkę, a potem zapytała jeszcze o nazwisko, ulicę i numer domu.

Chłopczyk odpowiadał, mocno ściskając złotówkę.

— Idźże teraz do domu—rzekła mama—i zanieś pieniądze, żeby wam matka co ugotowała, a przed wieczorem przyjdę do was sama.

Janek i Walcia uprosili mamy, żeby zabrała ich z sobą do rodziny biednego chłopca i mama po namyśle zgodziła się na to.

Poszli wszyscy i znaleźli go dość łatwo pod wskazanym adresem. Uboga kobieta przywitała ich z wielką radością i wskazała do siedzenia drewniany stołek i kuferek. Mąż jej robotnik, chory od paru miesięcy, leżał w szpitalu, a ona jak mogła radziła sobie sama. Ale ciężko radzić, kiedy małe dziecko na ręku, a czworo starszych jeść woła. Przyjmowała pranie, pomagała sąsiadkom w każdej robocie za kawałek chleba, lecz dla wszystkich nie wystarczało. Więc sprzedawała trochę sprzętów: szafę, stół, dwa krzeselka i tak jakoś zima przeszła. Teraz ciepło, ale jeść trzeba i mieć coś do ubrania, a skąd na to pieniędzy?

Mówiła bardzo rozsądnie, nawet nie narzekała, tylko prosiła o pomoc i radę. Bo co ona zrobi? Już niema co sprzedać, a najstarszy chłopczyk siedem lat skończył dopiero, więc takie małe dzieci, że od nich odejść nie można.

Mama wysłuchiwała jej uważnie, a dzieci tymczasem zaznajomiły się z rodzeństwem chłopca. On nazywał się Jędrus, młodsza siostrzyczka Zosia, potem była Mania i Franuś, a najmłodszy Ignaś. Wszystkie były bardzo blade, miały ładne oczy, podarte koszulki, spódniczki albo sukienki i z początku bały się gości.

Ale Jurek podał Jędrusiowi bacik, a Franiowi lejce, Walcia dała dziewczynkom lalkę i parę garnuszków i od razu przyjaźń zrobiła się wielka. Każde coś opowiadało i patrzyło tak słodko ślicznymi oczami, że Walcia ucałowała je serdecznie.

Mama obiecała przynieść Walentowej trochę ubrania dla dzieci, postarać się dla niej o jakie zajęcie i pomoc, a tymczasem zostawiła jej więcej pieniędzy, ażeby nie cierpieli głodu.

Dzieci całą drogę coś mówiły z sobą, a gdy przyszli do domu, Jurek spytał mamy.

— Czy mama nam pozwoli kupić sobie skarbonkę i zbierać w nią pieniądze dla ubogich dzieci? To tak przykro nie mieć nic swego, kiedy się widzi takiego Jędrusia. Chciałbym zrobić mu jaką przyjemność, a nie mam za co.

— Pozwól, mamó! — prosiła i Walcia. — Tyś szczęśliwa, bo masz co dawać, a ja bym chciała teraz mieć ogromne skarby, swoje własne, i wszystkie biedne dzieci uszczęśliwić, żeby nie znały głodu ani zimna.

— Najchętniej — rzekła mama — zgadzam się na skarbonkę i cieszy mię ten zamiar. Niech stoi na waszym stoliku, a ile razy spotka was jaka przyjemność, pomyślcie o tych, którzy są biedni i smutni. Kiedy wydacie kilka groszy na przysmaczek, niech coś i do skarbonki przybędzie, a poznacie niedługo, jak wielkiem jest szczęściem dzielić się tem, co mamy, z potrzebującymi.

Więc od jutra skarbonka!

Czyż nie powinien stać ten mały sprzączek na stoliku każdego dziecka, co czuć i myśleć zaczyna?



Miłosierny Stasio.



Stoi dziadek ubogi,
Staruszeczek bez nogi,
W połatanym ubiorze,
Ledwie ruszać się może.
Gdy kto idzie, to z cicha,
Nie śmie prosić, lecz wzdycha,
Koło niego do szkoły
Biegł Staś z teką, wesoly,
Bo prócz książki w niej jeszcze
Garść orzechów szeleszcze,
A ze środka przez szparki
Wyglądają sucharki.
Kiedy ujrzał staruszką,
Posmutniała w nim duszka,
I wyjąwszy dar ciotki,
Wszystkie swoje łakotki,
Drząc, choć nie wie sam, czemu,
Wciska w ręce biednemu.
A starcowi wraz oczy
Łza przejrzysta zamroczy.
Nie zdobył się na słówko,
Dał krzyż tylko nad główką.
Za tym krzyżem, chłopczyno,
Łaski Boże ci spłyną.

W. Anzyc.



Brat i siostra.



— Ja nakopię dużo złota
Gdzieś w zamorskiej ziemi,
A potem się mem bogactwem
Podzielę z biednemi.

— A ja będę ciągle szyła,
Nie żałując ręki,
I dla wszystkich biednych sierot
Porobię sukienki.

— A ja będę budowniczym,
I z belek ogromnych
Wybuduję śliczny domek
Dla dzieci bezdomnych.

— A ja będę gospodynią,
Co mi mąki trzeba!
Toć dla wszystkich wygłodniałych
Muszę upiec chleba.

M. Konopnicka.



Dobra rada, lepszy czyn.



Adaś i Janek chodzili do szkoły i uczyli się bardzo dobrze, gdyż obaj rozumieli, jak potrzebną jest nauka człowiekowi.

Powracając, zwykle widywali w bramie synka stróża, który siedział na małym stołeczku i uczył się albo pisał, położywszy kajet na wyższej nieco ławce.

Janek zbliżył się raz do niego i popatrzwszy na pismo, przemówił:

— Nie możesz tu pisać dobrze, bo ci niewygodnie i ciemno. Oczy sobie popsujesz, garbatym będziesz od takiego siedzenia. Radzę ci dobrze: poszukaj sobie innego miejsca do pisania.

— Innego to już nie mam — odpowiedział Antoś — w izbie pełno dzieci, hałas i niema gdzie położyć kajetu. I tutaj się nauczę.

Janek wzruszył ramionami i odszedł, obrażony, że Antoś nie posłuchał jego dobrej rady, lecz Adaś pobiegł do mamy i poprosił, żeby pozwoliła Antkowi odrabiać lekcye w dziecięcym pokoju. Mama zgodziła się na to i ucałowała synka, a potem powiedziała:

— Pamiętajcie, moje dzieci, że rada może być dobra, ale czyn zawsze lepszy.



Jałmużna myśli.



Mój Piotrusiu, nie mam grosza,
Bom i mały i ubogi,
Ale siądźmy sobie razem
Na tym wzgórku koło drogi.

Opowiem ci różne rzeczy
O tych polach, o tem niebie,
O tych naszych żytnich kłosach,
Co tu rosną wedle ciebie.

Opowiem ci o tych lasach,
Co na straży, szumiąc, stoją,
O tych rzekach modrych, bystrych,
Co nam łąki nasze poją.

Potem sobie zaśpiewamy,
Aż głos pójdzie na pół mili!
I będzie nam w sercu błogo,
Żeśmy taki dzień przeżyli.

M. Konopnicka.



Nad strumykiem.



Bije źródło srebrzyste
Z czarnej skały w tym lesie,
A strumyczek przeczyste
Wody jego w dal niesie.

Bieży sobie, oj bieży,
Gdzie ta łąka szumiąca,
A na wodzie, na srebrnej,
Leży złoto od słońca.

Zadumały się dzieci —

Pytać bierze ochota:

— Skąd się wzięło w tej wodzie
Tyle srebra i złota?

Tyle skarbów w strumyku,
Tyle bogactw, mój Boże!
Czemu żaden z biedaków
Zabrać tego nie może?

Pojaśniałaby chata,

Pozłotniałoby pole,

Gdyby tem srebrem, złotem

Wesprzeć ludzką niedolę.

K. Lewandowska.



Chłopczyk i kotek.



Siedzi nad wodą mały kocina,
Patrzy na rybki, idzie mu ślina;
Radby ich dostać, radby w bród skoczyć,
Lecz mu się nie chce nóżek zamoczyć.
Siedzi nad książką mały chłopczyna,
Potrzebę nauk czuć już zaczyna,
Radby się uczyć, radby coś wiedzieć,
Lecz mu się nie chce główki pobiedzić.
Darmo, kocino, darmo, chłopczyno!
Gołąbki same do ust nie płyną,
Kto leniuch, niech się o nic nie kusi:
Kto chce coś umieć, pracować musi.



J u t r o .



Jutro wykończę swoje zadanie,
Jutro przepiszę, jutro przeczytam,
Jutro grać będę na fortepianie,
Jutro o lekcye dobrze rozpytam,
Jutro—o! jutro ja wszystko zrobię,
A dzisiaj jeszcze odpocznę sobie.
Tak mówią zwykle leniwe dzieci,
Nie pamiętając, jak dni tych mało,
Jak prędko zawsze czas ludziom leci,
I jak niewiele chwil im zostało.
Jutro—Na jutro czemuż odkładać?
Dziś twoje,—jutro trudno ci zbadać.

L. Niemojowski.



Złe żarty.



Wesoło było w klasie podczas pauzy, chłopcy się mocowali, biegali, krzyczeli, naśladowali głosy różnych zwierząt, wkońcu — ze zbytku pewno wesołości — zaczęli sobie przedrzeźniać nawzajem.

— Julek tak chodzi, patrzcie!

— Ha, ha, ha! Ha, ha, ha!

— A Lutek tak.

— Ha, ha, ha!

— Wisła wypływa — Wisła wypływa —

— Z Morza Czerwonego! Ha, ha, ha! Kazio, Kazio!
umie geografę!

Któryś zaczął gwałtownie pchać bibułę w usta.

— To Józio je śniadanie, prędko, żeby nie uciekło! ha, ha, ha!

— Patrzcie! patrzcie!

Wysoki, chudy chłopiec przyklepił do nosa kawał skórki od pomarańczy, zadarł głowę, zmrużył oczy, i trzymając przed sobą długą linę, niby parasol, zaczął chodzić między chłopcami drobnym kroczeniem, przyglądać im się, bardziej jeszcze mrużąc oczy i przemawiając uprzejmie:

— A, przepraszam, to nie Staś.

— Ha, ha, ha! Ha, ha, ha! wybuchnęła głośnym śmiechem cała klasa. Ojciec szuka Stasia w parku!
Ha, ha, ha! Ha, ha, ha!

Nagle jeden z chłopców zaczerwienił się gwałtownie, poskoczył naprzód z roziskrzonym wzrokiem, pochwycił kałamarz i nie myśląc, co robi, chciał rzucić nim w głowę złośliwego żartownisia. Lecz ten przykucnął zreźnie, a kałamarz uderzył wchodzącego nauczyciela.

Przestraszeni chłopcy, jak rój much rozproszyli się na wszystkie strony i zasiedli w ławkach. Nauczyciel stał blady, z zsuniętymi brwiami i czarną plamą na białej koszuli.

— Kto to zrobił? — spytał surowo.

Nikt nie odpowiedział, więc zawołał głośnie.

— Kto rzucił kałamarzem?

Mały blady chłopiec skurczył się w ławce tak bardzo, że go prawie widać nie było, drżał cały i lży miał w oczach. Wtem siedzący obok niego kolega podniósł się i rzekł śmiało:

— To ja.

Nauczyciel popatrzył na niego uważnie, spojrzął na całą klasę i potrząsnął głową.

— To nie ty — rzekł stanowczo.

A potem dodał.

— Postąpiłeś szlachetnie, chciałeś osłonić winnego, przebaczę mu dla ciebie, — niech wstanie.

Blady chłopczyna podniósł się, drżąc i płacząc.

— Dlaczego to zrobiłeś? — Spytał nauczyciel.

— Naśmiewali się z mego ojca.

— Kto?

Chłopiec spuścił oczy i nie już nie mówił.

— Niech winny sam się przyzna, niech wstanie.

Podniosło się kilku chłopców i stali zawstyżeni, — przedrzeźniacz był między nimi.

— Czy wy nie macie ojców? — spytał nauczyciel.

Wszyscy milczeli.

— Czy ich nie kochacie?

— Czyby was nie bolało, gdyby z nich kto szydził?

Żaden nie odpowiadał.

— Jesteście złymi synami i złymi chłopcami—mówił dalej nauczyciel.—Wstyd przynosicie szkole, ojcom waszym i wszystkim ludziom, których nazywacie braćmi. Nie chcę was karać, bo nie chcę wiedzieć waszych nazwisk. Nie chcę nic o was wiedzieć, póki jakim dobrym czynem każdy z was nie zmyje z siebie dzisiejszej plamy.

— A ty, szlachetny chłopcze, powiedz mi, jak się nazywasz — rzekł do tego, który cudzą winę wziął na siebie.

Według Amicisa.



Kosiarze.



-- Co tak dzwoni, niby w kosy?

— To kosiarze!

Biełą się tam na zielonym

Łąk obszarze..

Och, wybiegnę, och, polecę

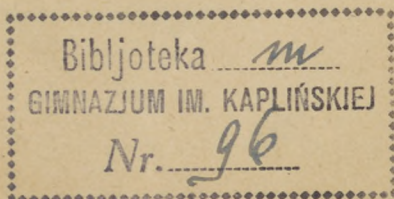
Na to błonie!

I uzbieram wonnych kwiatków

Pełne dłonie.

Jak mi błogo tam na łące
Pośród trawy!
Jak zazdroścę tym kosiarzom
Ich zabawy!
A ja biedny tyle godzin
Siedzę w szkole,
Czytam, piszę, biedną głowę
Wciąż mozolę!
Oni sobie tak leciuchno
Tną kosami,
Złote słońce im przyświeca
Promieniami!
Och, pobiegnę i uproszę
Sobie kosy,
Z czoła zetrą mi trud szkolny
Krople rosy.
Lecz, o dziwo w tej zabawie
Wszyscy ludzie
Potem złani, wyglądają,
Jakby w trudzie?
Staął chłopczyk zadumany
Wśród kosarzy,
Już na trudy swej nauki
Się nie skarży.
Bo poznaje po tych ludziach,
Po mozole,
Że jest w życiu cięższa praca,
Niżli w szkole.

J. R.



Szkoła.



Chodzić do szkoły — toć to uciecha!
Aż się Waciowi dusza uśmiecha.
Trudno zrozumieć, czemu chłopczyki
Boją się szkoły, jak puszczy dzikiej!
Toć wstyd strach taki, bieda prawdziwa!
Spytajcie Wacia, jak w szkole bywa.

Więc przed lekcyami naród wesoły
Brzęczy i gwarzy, jak w ulu pszczoły,
O tem, czego się uczyli wczora,
Co dziś usłyszą z ust profesora,
Jakie to który czytał książeczki,
Dawne legendy, śliczne piosneczki.

Pan nauczyciel wchodzi do klasy,
Cichną od razu gwary, hałasy,
Uczyć się trzeba pilnie, z ochotą,
Nauka droższa nad srebro, złoto!
Tak po godzinie godzina sływa,
A z każdą w główce coś ci przybywa.

Pauza już, pauza! uderza dzwonek,
Hej na dziedziniec, gdy piękny dzionek!
Dalej do piłki! któż się nie stawi!
Ten kto się uczył, niech się zabawi.
Niema jak szkoła! niech każdy woła:
Niech żyją książki! niech żyje szkoła!



Kto silniejszy?



— Felek znów się mocuje w ławce? — rzekł nauczyciel surowym głosem, wchodząc do pokoju szkolnego, w którym duży chłopiec stojąc w ławce, krzychał coś głośno i wywijał wkoło pięściami.

Uczniowie rozproszyli się na wszystkie strony, ale jeden zasłaniał oko, drugi ocierał krew z nosa, trzeci miał guza na czole.

— Dlaczego się biliście? — spytał nauczyciel.

— To ten rozbójnik Felek, proszę pana—odezwał się któryś z małych.

— *Skarżypyta! Skarżypyta!* rozległy się głosy.

Mały chłopiec z podbitym okiem zaczął płakać.

— Odpowiadaj, Felku, dlaczego ich biłeś? — powtórzył nauczyciel.

Felek wstał z miną dobrą. Był najwyższym w klasie i rozumie się — najsilniejszym, więc sobie wyobrażał, że mu wszystko wolno.

— Wyzwałem całą klasę sam jeden—rzekł dumnie.

Nikt wam nie broni bić się i mocować uczciwie na podwórzu—odpowiedział nauczyciel, ale ci tyle razy powtarzałem, że tu w klasie niewolno. Czy już zapomniałeś, jak wybiłeś trzy zęby Henrykowi, popchnąwszy go na ławkę? Wstydzilibyś się nadużywać swojej siły względem młodszych. Zresztą zapowiedziano ci raz, że niewolno. Byłbyś już za Henryka wydalonym, gdyby nie prośby twojej matki, lecz teraz ci zareczam, że jeżeli raz jeszcze skrzywdzisz którego malca, jeżeli tu raz

jeszcze zobaczą mocowanie w ławkach, sam poproszę o usunięcie cię ze szkoły. Marcinku—dodał, zwracając się do małego chłopca — jesteś spokojny i mały, więc usiądziesz przy Felku, żeby nie miał żadnej pokusy.

Marcinek, choć niechętnie, wstał ze swego miejsca i usiadł obok Felka. Był to drobny chłopczyna o bladej twarzy i poważnym spojrzeniu ciemnych oczu.

Lekcja przeszła spokojnie, ale po nauce, ledwo chłopcy zostali sami, Felek się podniósł i zaczął przedrzeźniać nauczyciela.

— „Zabraniam ci się mocować“ — powtarzał — „zabraniam“. Sam widać był tchórzem w szkole, kiedy tak mówić może. Ja tchórzem nie jestem i z każdym bić się będę, kto nie zechce mię słuchać. Słyszysz, Marciu? Na to siedzisz przy mnie, żebyś mi służył i słuchał mię we wszystkim, a nie—to się spróbujemy. Zrozumiałeś?

— Nie zrozumiałem, gdyż bić się z tobą nie będę, a słuchać cię nie myślę.

— To zobaczymy!

I dał mu psztyka w ucho, aż Marcinkowi iskry błysnęły przed oczyma.

— Jesteś rozbójnik, niegodziwy — rzekł, hamując łzy i gniew.

Felek przymrużył oczy i spojrzał na niego tak drwiąco, że Marcinek nagle pochwycił go wpół i zaczął mocować się z nim z całej siły.

Cała klasa patrzyła ze zdziwieniem: Marcinek, najspokojniejszy i najslabszy z uczniów, rzucił się na tego olbrzyma, którego się wszyscy bali.

Felek przez chwilę pozwolił mu się szarpać, a potem go pochwycił za ramiona i byłby go przewrócił

w mgnieniu oka, gdyby Marcin nie zahaczył nogą o nogę ławki. Niespodziewany opór rozgniewał Felka jeszcze bardziej, przechylił Marcinka na bok, coś chrupnęło, chłopiec krzyknął, a wtem ktoś dotknął klamki i wszedł nauczyciel z dyrektorem.

Wszyscy chłopcy stali spokojnie na miejscach, potem usiedli, lekcya się zaczęła.

Marcinek siedział także, lecz co się z nim działo! W nodze czuł ból nieznośny, zdawało mu się, że tego nie wytrzyma dłużej, a przecie milczał i zaciskał usta. But go ścisnął i palił, czuł ból aż w kolanie, zimno i gorąco w całym ciele.

Chciał oprzeć nogę o podłogę, ale o mało nie krzyknął, tak straszliwie zabolęło go w tej chwili. Więc trzymał ją w powietrzu, chociaż sił już nie miał, chociaż każda minuta godziną mu się wydawała.

— Co ci jest, Marcinku? spytał nagle nauczyciel.

— Chory jestem—rzekł chłopiec—nie mogę wstać.

I zbladł bardzo, bo i noga zabolęła go dotkliwiej i wstyd mu było, że wstać nie może, mówiąc do nauczyciela.

— A lekcję umiesz? — zapytał dyrektor.

— Nie — odpowiedział chłopiec, gdyż wiedział, że nie może teraz odpowiedzieć na najłatwiejsze pytanie.

— To jeden z najlepszych uczniów — zauważył nauczyciel.

Ale dyrektor patrzył niedowierzająco, potem zapytywał innych.

Nakoniec skończyła się nieszczęsna godzina, Marcin chciał się podnieść na pożegnanie dyrektora, ale chociaż prawie nie dotknął nogą do ziemi, znów przeszył go ból straszny, pociemniało mu w oczach,

zbladł i byłby upadł, gdyby nauczyciel, który widział to wszystko, nie wziął go na ręce.

— Co ci jest? — spytał łagodnie, kiedy chłopiec przyszedł do siebie.

— Skręciłem nogę. O, proszę jej nie dotykać! Do domu, do domu! Nie zajdę do dorożki.

Chłopcy spojrzeli na siebie z przestraczem, Felek spuścił oczy i wyszedł prędko zachmurzony.

Nauczyciel tymczasem zajął się Marcinkiem, posłano po doktora, ale chłopiec nie pozwalał dotknąć nogi. Trzeba było but rozciąć, gdyż była złamaną, doktor kość zestawił i obandażował. Marcinek zniósł to mężnie, nie krzyczał, nie płakał, nie oskarżył nikogo. Widząc, że tak bardzo cierpi, nauczyciel nie zadawał mu żadnych pytań.

Przez sześć tygodni chłopiec leżał w łóżku, a potem przyszedł jeszcze o kuli do szkoły. Na jego widok Felek zbladł okropnie, a gdy Marcinek usiadł koło niego i nic nie mówiąc zaczął powtarzać zadaną lekcję, Felek schylił się nagle nieśmiało do niego i rzekł cicho, głosem zmienionym.

— Ja ciebie będę słuchał, ty rozkazuj, boś ty silniejszy i lepszy ode mnie.



Skąła i kropła.



Jakież zamiary zuchwałę!
Ty, miękka kropło wody, chcesz wydrażyć skąłę?
Rzekła twarda opoka i dumnie spojrzęła
Na kropelkę, co spływała.
Kropła nic nie odpowiada,
Ale jak pada, tak pada.
I stałością dokazała,
Że uległa kropli skąła.

St. Jackowicz.



Ranek na wsi.



Raniusieńko, jak zorze,
Słychać ptaków śpiewania,
Skowroneczek już orze,
A przepiórka pogania.
Każdy przy swej robocie:
Bocian chodzi po błocie,
Słowik śpiewa, a śpiewa,
Żońna lasy rozsiewa.
Przyśpiewują na głosy
To wiwilgi, to kosy.

T. Lenartowicz.



L a t o.



Już i zboże bieleje,
Już i owoc dojrzewa,
Słońce do nas się śmieje
I słowiczek nam śpiewa.

Maki, chabry, sasanki
Stroją łąny bogato,
Będzie kwiatów na wianki,
Bo to lato, bo lato!



W o j t u ś.



Wojtuś, mały chłopczyk wiejski, był sierotą, dziadek chował go przy sobie i troskliwie się nim opiekował. Stary Walenty, dziaduś Wojtusia, był ubogi, niewiele też mógł zarobić, bo sił już nie miał, a jednak chłopczynie na niczem nie zbywało, bo dziaduś wolał sobie czego odmówić, byle ukochany wnuczek miał wszelkie wygody. Na wsi zwykle i dzieci muszą coś robić, wyręczać starszych, o ile potrafią, ale Walenty nigdy nie posyłał chłopca do roboty i pozwalał mu się bawić dzień cały z dziećmi bogatych wieśniaków.

Raz wieczorem Walenty, powróciwszy z kosą, siedział na przyźbie przed chatą, a Wojtuś strugał patyczki kozikiem, biegnąc tu i owdzie. Wtem nadszedł Jędrzej,

karbowy, także staruszek, pozdrowił Walentego i zaczął z nim rozmawiać, a wyjąwszy tabakierkę, podał mu ją, mówiąc.

— A poprobujcie, kumie, co to za dobra tabaka, — wczoraj kupiłem w mieście, bardzo mi smakuje.

— Co dobra, to dobra — odpowiedział Walenty, spróbowałwszy.

— Jeżeli chcecie, to i dla was kupię; pojutrze jadę znów z państwem do miasta, dajcie kilka groszy, a będziecie mieli zapas.

— Nie mam pieniędzy na takie zbytki — odparł Walenty. Odwykł człowiek i od tabaki; bo to widzicie i ten sierota na mojej głowie, a dziecko coraz czegoś potrzebuje; łatwiej staremu obejść się bez wszystkiego, niż dziecku.

— Ej, bo psujecie, kumie, tego malca — mówił Jędrzej — albo mu to potrzebny ten kozik, coście u Węgra kupili? Byłyby pieniądze na tabakę.

— Oj, żebyście wiedzieli, co to za uciecha była z tego kozika! Już ja wolę patrzeć na uciechę dziecka, niż najlepszą tabakę zażywać.

— I czy to się taki malec wam odwdzięczy?

— Albo ja dla wdzięczności to robię? Niech tylko rośnie zdrowo, to najlepsza wdzięczność.

Wojtuś niby nie zważał na rozmowę starszych, strugał swoje patyczki, ale słyszał wszystko, a że miał dobre serce, więc go słowa dziadka wzruszyły. Kozik był śliczny, Wojtuś o mało nie oszalał z radości, gdy mu go dziadek kupił. W całej wiosce paru chłopców tylko miało takie, a jednak zaczął myśleć o tem, czyby nie sprzedać kozika i kupić za te pieniądze tabaki.

Myślał nad tem i przypomniał sobie, że przed paru

dniami Kasia, córka Józefowej, pokazywała mu śliczny pieniądz, co jej pani we dworze dała za jagody. Wojtuś też nieraz zbierał w lesie jagody, ale sam je zawsze zjadał, teraz jednak przyszło mu na myśl, że można mieć za nie pieniądze, a on tak pieniędzy pragnął dla dziadunia.

Na drugi dzień, gdy dziadek wyszedł z kosą w pole, Wojtuś wypił swoje mleko, nabrał do kieszeni chleba i kartofli, nie zapomniał o starym dzbanku i wyruszył do lasu.

Po drodze spotkał chłopców, z którymi się zwykle bawił, wołali go i zapraszali, aby szedł razem z nimi budować mostek na dołku, koło ogrodu karbowego.

Wojtuś bardzo lubił mostki budować, aż westchnął, taką miał ochotę iść z chłopcami, ale nie zawrócił i poszedł dalej. Tak pilnie zbierał jagody, że wkrótce miał pełny dzbanek. Poszedł do dworu. Pani pogłaskała go po głowie, zapytała o dziadusia i dała śliczny pieniądz, taki sam, jak Kasi.

Chłopiec był uszczęśliwiony, pocałował panią w rękę, włożył pieniądz do kieszeni, a wracając do domu, co chwila go wyjmował i oglądał. Chciał oddać go dziadusiowi i powiedzieć, że to na tabakę, ale inaczej się namyślił. Wstąpił do karbowego, podał mu pieniądz i rzekł:

— Na tabakę dla dziadusia.

— Aha, namyślił się stary — rzekł Jędrzej.

Wojtuś pobiegł do domu, nic nie mówił dziadusiowi, czekał cierpliwie, a na drugi dzień wieczorem przyszedł Jędrzej i powitawszy starego, podał mu paczkę tabaki.

— A to co? — spytał Walenty zdziwiony.

— No, a cóżby? Tabaka, coście mi na nią pieniądze przysłali.

— Ja pieniądze przysyłałem na tabakę? Chyba wam się przyśniło, kumie.

— A toż Wojtuś mi przyniósł wczoraj i mówił, że na tabakę. Może się pomylił. A chodźno tu, Wojtuś.

Chłopczyk przybiegł rozpromieniony i rzekł:

— Bo to ja nie od dziadusia, tylko od siebie dałem te pieniądze na tabakę.

— Od siebie? — zawołał Walenty, jeszcze bardziej zdziwiony. A skądże ci przyszła do głowy tabaka i kto ci dał pieniędzy?

— Bo to ja wczoraj nazbierałem jagód i pani we dworze dała mi pieniędzy. A wy, dziadusiu, kupiliście mi taki śliczny kozik, choć za te pieniądze byłaby tabaka.

— Słyszał pewno, jakeśmy to mówili przedwczoraj — rzekł Jędrzej z uśmiechem.

Dziaduś drżącemi rękoma wziął chłopca za głowę, łza mu się w oku zakreśliła.

— A widzicie, kumie — mówił — wyście powiadali, że taki malec nie potrafi być wdzięcznym.

— Poczciwe z ciebie dziecko, Wojtusi — rzekł karbowy — pamiętaj, abys zawsze był taki.

J. Zaleska.



Pszczołka i gołąb.



Wpadła w strumyk pszczołka mała,
Skrzydółkami trzepotała,
Już w nich siłę utraciła,
O! w jakimże strachu była!

Wtem gołąbek śnieżno-pióry,
Na ratunek bliźnich skory,
Spuszcza listek, — pszczołka rada,
Na zieloną łódkę siada,
Skrzydła siłę odzyskały
I uleciał owad mały.

Nikt naprzód o swem nieszczęściu nie wie:
Wkrótce nasz gołąb usiadł na drzewie,
Spokojny, szczęśliwy,
Aż tu myśliwy

Wymierza strzelbę, chce go zgładzić z świata!
Lecz w tejże chwili pszczołka przylata,
Utnie go żądłem w rękę, strzał ptaszynę mija,
Ocalona, swobodnie w powietrze się wzbija.

Tak za dobroć — wdzięczność płaci,
W nieszczęściu spieszymy z pomocą do braci.

St. Jachowicz.



O świcie.



Z cichej, mrocznej dali
Aniołowie biali
Idą, idą zórz dróżyną,
A nad nimi blaski płyną
Po powietrznej fali.

Idą przez niebiosy
Sypać krople rosy,
I orzeźwić kwiatów głowy,
Nim je pośród mgły perłowej
Zetnie ostrze kosy.

Idą budzić gaje,
Srebrzyć wód ruczaje,
Idą, niosąc lilii pąki
Ponad nasze szare łąki,
Przez niebieskie kraje.

Złotą zórz dróżyną
Aniołowie płyną,
Idą, idą przez niebiosy,
Sypiąc perły jasnej rosy,
I w oddali giną...

Z. pl.



Nie wstydz się pracy.



Mały Jezus, Zbawca świata,
Wasz rówieśnik, dziatki,
Własną rączką co dzień zmiatał
Pył z progu swej chatki.

I świętemu Józefowi,
Strudzonemu wielce,
Własną rączką dopomagał
W pracy przy ciesielce.

A wam czyżby każda praca
Miała iść niesporo?
Na kolana padnij, dziatwo,
Przed Jego pokorą.

Módl się szczerze i gorąco
Do Jezusa w niebie,
By tę świętą chęć do pracy
Przelał także w ciebie.



Szewczak.



W szkółce przygotowawczej było aż dwudziestu chłopców. Byli pomiędzy nimi biedni i bogaci, synowie ludzi prostych i bardzo uczonych, lecz na to nikt nie zważał: tu, w szkółce, byli tylko uczniowie, pilni, leniwi, grzeczni i niegrzeczni, ale wszyscy równi kole-dzy, a ten pierwszy, kto pilniejszy i lepszy od innych.

Tylko jeden Marcelek tego nie rozumiał: zaraz prosił nauczycielki, żeby go posadziła przy innym chłop-cyku, bo jego sąsiad ma brzydkie ubranie.

— Czy brudne? — zapytała p. Marta.

— Nie, ale takie nieładne.

Wszyscy się rozśmieli, a p. Marta rzekła.

— U krawca w sklepie ładne ubranie ma największą wartość, ale u nas w szkole nic nie znaczy; — ten więcej wart, kto się lepiej uczy i lepiej sprawuje, choć-by miał brzydkie ubranie.

I pozostał Marcelek przy Antosiu, choć się na niego boczył. Prędko jednak poznał, że naprawdę dobrze siedzieć przy Antosiu: on i każde zadanie najlepiej rozumie i wszystkie nazwy wybornie pamięta i dyktando tak pisze, jak nikt w klasie.

Więc zapomniał o ubraniu, przyzwyczaił się do Antosia, potrzebował go często, bo mu w niejednym pomógł przy nauce, i polubił go wreszcie, choć sam nie wiedział o tem.

Raz na lekcji jeden z chłopców powiedział, że jest

synem adwokata, ale nie umiał dobrze wytłómaczyć, co ten wyraz znaczy, p. Marta dopiero objaśniła, że adwokat przed sądem broni oskarżonych ludzi.

Każdy uczeń mówił teraz, czem jest jego ojciec: więc jednego doktorem, a drugiego krawcem, tego kupcem, tego stolarzem, a Antoś był synem szewca.

Szewca? — Marcelek aż się odsunął od niego. Więc on przy „szewczaku“ siedział cały miesiąc i nie o tem nie wiedział? Coby na to francuska bona powiedziała?

— Proszę pani — rzekł głośno — ja nie mogę siedzieć przy *szewczaku*. Bona mi nie pozwoli, bo mogę się zepsuć i nauczyć brzydkich wyrazów, proszę pani.

Wszyscy koledzy wybuchnęli śmiechem i nie mogli się uspokoić, a niektórzy z oburzeniem zaczęli powstawać na Marcelka, ujmując się za Antosiem.

— Uciszcie się, dzieci, rzekła p. Marta. — Marcelek jest bardzo niemądry, ale to nie jego wina: matki nie ma, ojciec najczęściej w podróży, zająć się nim nie może. To, co powiedział, jest bardzo śmieszne: boi się zepsuć i nauczyć brzydkich rzeczy, a od niego samego mogliby koledzy nauczyć rzeczy bardzo złych i brzydkich: pychy i zarozumiałości. Więc dlatego, że obraził towarzyszy, nie będzie przy żadnym siedział, dopóki się nie poprawi i nie poprosi ich o przebaczenie.

To powiedziawszy, postawiła krzesło na boku przy stoliku i posadziła tam Marcelka.

Z początku taka zmiana bardzo mu się podobała, lecz przekonał się prędko, że źle na niej wyszedł: nie miał pomocy zdolnego Antosia i wszystko szło mu gorzej, — w wolnych chwilach koledzy odsuwali się od niego i mówili, że nie chcą, aby się od nich zepsuł.

Po trzech dniach miał już dosyć odłączenia: dostał

więcej złych stopni, niż przez cały miesiąc i nudził się okropnie, a na lekcjach nic nie uważał.

— Zepsułeś się, Marcelku, choć nie siedzisz przy Antosiu — powiedziała p. Marta.

Łzy stanęły mu w oczach, bo to była prawda: zepsuł się w nauce i w sprawowaniu. Zrozumiał, jak był nierozsądnym, więc rzekł prawie z płaczem:

— Niech mi pani przebaczy i pozwoli wrócić na dawne miejsce.

— Teraz nie wiem, czy Antoś zechce siedzieć koło ciebie, bo on naprawdę może się od ciebie zepsuć.

— O, bardzo proszę o to! — zawołał Antoś — ja się wcale nie gniewam na Marcelka, on jest dobry, choć czasem niemądry. Żal mi go, bo nie ma matki, i polubiłem go bardzo.

— Któż z was lepszy i mądrzejszy? — zapytała Marcelka p. Marta.

— On — szepnął chłopczyk ze skruchą.

— Ten szewczak?



Woreczek jedwabny i skarbonka gliniana.



Piękny woreczek, paciorkami dziany,

Stał przy skarbonce glinianej.

— Ty przy mnie? — rzecze — Co za śmiałość, proszę!

Ja mam złoto, a ty grosze.

Na to skarbonka odpowie:

— Nie z posiadania skarbów zaszczyt na nas spływa,

Ale jak ich kto używa.

St. Tachowicz.

↳ Pieśń kowala.



Stuka, dzwoni
Młot w mej dłoni,
Gdy żelazo w kuźni kuję,
Ręk też nigdy nie żałuję,
Bo próżniactwo zdrowiu szkodzi,
Pilna praca szczęście rodzi.
Kocham ja mój stan,
Bo w nim jestem pan.

Patrzcie, dzieci,
Kruszec świeci,
Po kowadle kują młoty:
Będą radła, brony, groty,
I podkowy dla konika,
I pług piękny dla rolnika.
Kocham ja mój stan,
Bo w nim jestem pan.

Gdyby padło
Na kowadło
Stu leniuchów, tobym kował,
I wcale ich nie żałował,
Byle tylko coś z nich zrobić,
I do pracy przysposobić.
Kocham ja mój stan,
Bo w nim jestem pan!



Piosnka piaskarza.



Hej, nad Wisłą dużo piachu,
Nie zabraknie, niema strachu,
Tylko kopać trochę trzeba,
A za trud ten — kromka chleba.

Bo za cztery drobne grosze
Koszyk jeden albo drugi
Gdy przyniosę, a poproszę,
Kupią stróże albo sługi.

Dzisiaj pono jest sobota,
To do pracy wziąć się snadnie,
Bo po kuchniach jest robota,
By w niedzielę było ładnie.

Uszorować rondle, garnki
Ani rusz bez piachu mego,
Więc wołają mię kucharki,
Bym towaru dał „białego.“

A groszaki dla matuli
Chowam oto w tym woreczku,
Gdy je oddam, to przytuli:
— Dobryś chłopiec, mój syneczku!

M. D.



Szyszka i grzyb.



Nadęta siedząc szyszka na wysokiej sośnie,
Drwiła sobie raz z grzyba, że tak nisko rośnie.
Wiatr wionął, szyszka spadła i rzekła w pokorze:
— Im kto wyżej wzniesiony, tem łatwiej spaść może.

St. Jackowicz.



Dudek, czyżyk i słowik.



Dudek i czyżyk ponad strumykiem
Zeszli się z szarym, skromnym słowikiem.
Dudek, ze stroju pyszna ptaszyna,
Tak do czyżyka mówić zaczyna:

— Ten słowik szary, jak zgrzebna szmata,
Jakoś zanadto z nami się brata!
Musi to ptaszek być ładajaki,
Ulećmy od niego w krzaki.

Na to słowiczek, ptaszę rozumne,
Spojrzał litośnie na ptaki dumne,
Siadł na gałązce obok strumienia
I zaczął nucić swe śliczne pienia.

Do głębi śpiew ten tkliwy przenika
Zarówno dudka, jak i czyżyka,
Więc do słowika powrócić radzi.
Zgoda dobremu nigdy nie wadzi.

Chętnie też słowik do niej się skłania,
Lecz tę im wielką prawdę odsłania:
Że się wartości bliźnich nie mierzy
Pozorem dobrej lub złej odzieży.



Mały bohater.



Był ranek pogodny, ale trochę chłodny, więc Stefuś idąc w kurtce, bez szynela, potrząsał ramionami pod ciężkim tornistrem, aby się trochę rozgrzać.

— Głupstwo zrobiłem, żem nie wziął szynela, mama dobrze radziła — myślał sobie. — Ha, trzeba iść prędko, to mi nic nie będzie. Ciekawym, jak mi się uda dziś zadanie? — wszystko rozumiem dobrze, więc zrobić je powinienem. Przyjemna to rzecz szkoła, kiedy się lekcye umie. Miałbym też ochotę mówić dzisiaj wiersze. Cała klasa powinna dostać za nie piątki, takie ładne i takie łatwe; z pewnością wszyscy będą umieli wybornie.

Wtem spostrzegł kilku kolegów przed sobą, więc przyspieszył kroku, aby ich dogonić. Weselej w towarzystwie.

Ruch był na ulicy, na trotoarach pełno dzieci

i dorosłych, a każdy śpieszy do pracy, do szkoły, do warsztatu. Środkiem jadą dorożki, tramwaje i wozy, wyprzedzają się, wymijają, jakby czas chciały dogonić.

Naprzeciw Stefka idzie mały chłopczyk, najwyżej ośmioletni; książki ma związane sznurkiem, długie palto nie pozwala mu przyspieszyć kroku. Taką ma śmieszoną minę, pewno pierwszy raz sam dziś wyszedł na ulicę, więc jest z tego dumny i trochę się boi i spogląda na ludzi, czy na niego zważają.

Zatrzymał się, bo musi przejść na drugą stronę, czeka, aż szereg dorożek przejedzie, potem tramwaj, nakoniec wydawało mu się, że jest trochę spokojniej, więc puścił się pędem i wpadł prosto pod koła nadjeżdżającego omnibusu.

Lecz w mgnieniu oka Stefek już był przy nim, pochwycił go, pociągnął, uratował. Nie miał czasu jednak pomyśleć o sobie, gdy uczył silne uderzenie w plecy, usłyszał krzyk, na nogach uczył jakiś ciężar, ból — i wszystko nagle zniknęło mu z oczu.

Kiedy się ocknął, leżał w nieznanym pokoju, jakiś panowie stali koło niego, a dalej dwóch kolegów, a na krzesle, z twarzą w dłoniach ukrytą, cicho płakała matka.

— Mamo! — wyszeptał Stefuś, bo nie miał siły zawołać głośno.

Wtedy ujrzał przed sobą jej twarz zapłakaną i kochające oczy. Patrzyła na niego, ale prócz smutku była w tem spojrzeniu duma. Pochyliła się i łza jej upadła na bladą rękę Stefka.

— Niech pani nie płacze — nagle odezwał się doktór — zuch chłopak i szlachetny, chciałbym mieć ta-

ego syna. Noga się zrośnie, a kto w tym wieku umie zapominać o sobie, żeby ratować bliźniego, ten wyróżnie się na bohatera. Daj rękę chłopcze, szanuję cię i pragnę mieć w tobie przyjaciela.

I Stefuś nie czuł bólu, tak był szczęśliwy w tej chwili.

Według Amicisa.

Strażacy.



Hej, chłopacy, hej, strażacy!

Siadajcie na koń,
Bo tam w dali
Dom się pali,
Pośpieszajcie doń.

Z sikawkami, z pochodniami
Pędzą, trąbka gra,
I z pomocą, ciemną nocą
Spieszają, tra, ra, ra!

Ogień bucha, wicher dmucha,
Iskry lecą het!
Hej, chłopacy, hej, strażacy,
Gaście płomień wnet.

Już rąbiemy, pompujemy,
Chociaż ciemna noc,
Pracujemy, ratujemy
Biednych ludzi moc!

L. Jahołkowska.

Dzielny chłopiec.



Śpiewam sobie wesół,
Jak to ptaszę boże,
Powiedzcie mi, ludzie,
Co mię smucić może?
 Gdy skończę naukę
 I złożę książeczkę,
 Patrzę, w czym wyręczyć
 Kochaną mateczkę.
Czy to przynieść wody,
Czy urąbać drzewa,
Lepiej ja potrafię,
Niż się kto spodziewa,
 Czasem też i tatuś
 Każe pomódz sobie,
 To lecę i słucham
 I w mig wszystko zrobię.
Wyjdę na ulicę:
Roboty niemało
Znajdzie się tam zawsze,
Jakby mnie czekało.
 To dziadka obronić
 Przed Burkiem niecnotą,
 To Józię maleńką
 Trza przenieść przez błoto!
Ja nie wiem, doprawdy,
Przez jakie to czary,
Lecz każdy mnie lubi,
I młody i stary.

Z. Mrozowicka.

Braciszkanie.



Dała matka synom
Trzy srebrne groszaki,
By kupili sobie
Drobny towar jaki.
Janek wziął pieniążek,
Pobiegł do stajenki,
Kupił u woźnicy
Piękny batog cienki.
I biczykiem trzaska,
Aż kurzawa wstanie,
Wiatr daleko niesie
Śpiewy i klaskanie.
Antoś swój pieniążek
Długo miał na dłoni,
Potem jął próbować,
Czy donośnie dzwoni.

Jeszcze raz obejrzał,
Zawinał w papierek
I wetknął w szczelinę
Wązką za odźwiernek.
Bolek kupił pióro
I pierniczek słodki,
I wstążkę na szyję
Dla pieszczonej kotki.
Zostały w kieszeni
Dwa małe miedziaki,
Szedł ubogi drogą,
Ach, znękany taki.
Noga podkurczona,
Zamknięte powieki —
Oddał swe ostatki
Dla tego kaleki.

R. Kamińska.



Mała Żniwiarka.



Lato było, upały. — W mieście gorąco i duszno, ale i na wsi jak w gorącym piecu. Słońce jak ogniem pali, bo też to ogień Boży, bardzo potrzebny, żeby wszystko dojrzewało, żeby się przygotował posiłek dla ludzi na długą i ciężką zimę.

Zuzia kąpała się w słońcu jak ptaszek, w ogromnym kapeluszu cały dzień w ogrodzie,—a za ogrodem pole. Pole żółte od zboża, błękitne od chabrów, a czerwone od makówek. Ach bukiety! bukiety! Tak lubiła je zbierać. Idzie brózdą i zrywa chabry i makówki, już nie może objąć, taki pęk ogromny, więc czerwona, spalona, powraca na ganek i układa: to dla mamy, to dla babci, to dla p. Jadwigi, a tamten dla siebie.

Jak wesoło, kiedy bukiet jest w pokoju, — ale duży, ogromny!

Raz wybiega za ogród jak zwykle na pole, a tutaj żeńcy stoją z sierpami, śpiewają i ścinają kwiaty i dojrzałe zboże i kładą je na ziemi, jak nieżywe.

Zuzi żal się zrobiło i kłosów i zboża, lecz podobą jej się praca żeńców. Przecież nie była już taką malutką i wiedziała, że zboże zżąć trzeba koniecznie na chleb dla ludzi. Bez chleba żyć nie można.

Więc się rozweseliła i zaczęła patrzeć, jak żniwiarze pracują. Była tam jedna dziewczyna nieduża, Zuzia przy niej stanęła i widziała, jak ujmowała zboże

lewą ręką, prawą błysnęła sierpem i już garść leży na ziemi. I tak szybko i szybko, coraz dalej.

Zuzia nagle pobiegła co tchu do ogrodu, do mateczki, która siedziała pod drzewem.

— Mamo, ja też żąć będę!

Uśmiechnęła się mama i spojrzała na nią.

— Nie potrafisz, córeczko, to ciężka robota.

— Ach, bardzo łatwa, mamó, widziałam w tej chwili.

— Tak ci się zdaje, Zuziu—sierpa nie utrzymasz.

— Pozwól, mamó, chociaż spróbować, zobaczysz sama, choć chwilkę! choć trochę!

— Poprobuje, Zuziu, skoro masz taką ochotę, nawet jestem rada, przekonasz się, ile to trudu chleb ludzi kosztuje.

— A sierp, mateczko?

— Marysia ma nowy i nieduży, a nie poszła dziś do żniwa, poproś, niech ci pożyczy.

Za chwilę Zuzia z sierpem szła na pole. Taka była kontenta, taka dumna! Ho, ho! i ona żąć zboże potrafi.

Stanąła na ostatku, przy dziewczynce niebardzo dużej, schyliła się, ujęła garstkę kłosów małą rączką, ale musiała aż przykucnąć, aby je ściąć sierpem.

Żniwiarze się rozśmieli, a Zuzia poczerwieniała, lecz pomyślała sobie, że to tak tylko pierwszy raz.

Ale i drugi ciężko. Siedząc na ziemi, byłoby daleko łatwiej, — chociaż tylko się zdaje, bo i tak ciężko się schylać, a zboże się wrywa zamiast ścinać, i takie jest nierówne, poszarpane.

Prawda, że to niełatwo, ale się nauczy: zaraz tu będzie lepiej.

Wzięła większą garstkę, lepiej machnęła sierpem i ciach — prosto w rękę.

Krew zaczęła kroplami jak deszcz spadać na ziemię i Zuzia zbladła bardzo, ale się nie rozplakała: wstyd jej było. Dziewczyna, co przy niej żęła, owinęła jej rękę fartuszką i powiedziała, że niebardzo skaleczona. Więc stała, sama nie wiedząc, co robić: czy iść do mamy—czy jeszcze pozostać. Żać nie mogła, lecz stała i patrzyła teraz na schylonych żeńców. I oni zmęczeni byli, pot im spływał z czoła, twarze mieli czerwone.

— Musisz być zmęczona — rzekła Zuzia do dziewczyny, która obok niej żęła.

Dziewczyna się rozśmiała i otarła czoło.

— O, zmęczona, panienko, ale to nic nie szkodzi, choć się człowiek zmęczy przy pracy, to mu miło, kiedy wie, że z niej będzie coś dobrego. A z tego będzie chlebek. Dobrze ludziom, kiedy chleb mają. Oj, dobrze! Toć każdy kocha za to tę matulę-ziemię, co go dała taki piękny; toć za taką łaskę nie żal i pracy dla niej, dla tej naszej karmicielki.

Zuzia słuchała zdziwiona.

— To ty kochasz tę ziemię? — zapytała.

A dziewczyna aż głową pokiwała.

— A jakże jej nie kochać, panienczko? Toć na niej żyjemy, toć od niej wszystko mamy z woli Boga, ona od wiosny do późnej jesieni karmi nas i obdaruje i dogadza, a tylko co pod śniegiem troszkę zaśnie na wytchnienie, więc jakże jej nie kochać? Oj, niewdzięczne dzieci, coby takiej matuli swojej nie kochały.



Przodownica.



Zosia wianeczek na głowę wkłada
I przodownicę udaje,
Wielce ze swego pomysłu rada,
W wianeczku przed matką staje.

Nuci piosenkę, którą żniwiarze
Śpiewali wczoraj przed dworem,
Gdy wianek państwu przynieśli w darze,
Wracając z pola wieczorem.

A na to matka z uśmiechem powie:
Jedno ci, Zosiu, nadmienię,
U przodownicy wianek na głowie
Ważne ma bardzo znaczenie.

Bo na ten wianek w trudzie i znoju
Dziewczę zarabia u żniwa,
Lecz ty, córeczko, myślisz o stroju,
A jak z robotą bywa?

J. P.



Dziewczyna.



Oj, wesołaż ja dziewczyna,
Wszystko mi się śmieje,
Dla mnie kwieci się dolina,
Dla mnie wietrzyk wieje;
Dla mnie wschodzą ranne zorze
I wieczorne gwiazdki,
Dla mnie dałeś wszystko, Boże,
Na piosnki, powiastki.
Bo i któżby myślał w świecie
Przy tym niepokoju,
O powoju, co się plecie
Po krzakach, przy zdroju,
I o lichej tej ptaszynie,
Co w wieczornym chłodzie
Śpiewa sobie na kalinie
W matuli ogrodzie.
Już ja o tem myśleć muszę,
To mój kłopot cały,
Żeby w letnią, skwarną suszę
Kwiatki nie zwiędniały;
Żeby chłopcy nie wybrali
Małych ptasząt z gniazdka;
Zdrój oczyszczam, żeby w fali
Przejrzała się gwiazdka.

I tak dobrze mi, tak lekko
U matki jedynej,
Że i nie wiem, jak tam cieką
Lata, dni, godziny.

T. Lenartowicz.



Pszczołka.



— Powiedz mi też, mała pszczołko,
Czemu ciągle latasz wkółko?
Czemu bręczysz wciąż po sadku
I na każdym siadasz kwiatku?

— Bo ja z kwiatków, mój malutki,
Wydobynam miód słodziutki.
Gdyby pszczoły nie zbierały,
Zginęłyby wkrótce z głodu,
A i ty, mój Tomciu mały,
Nie jadłbyś też nigdy miodu.

Wł. Anczyc.



P s o t n i k.



— Olesiu, co ty robisz!

Chłopczyk cofnął się z przestraczem i spojrzął na stolik, który pokrajał nożykiem w desenie i litery.

— Nowy stolik—rzekła mama.

Oleś tylko spojrzął ze wstydem i skruchą: zapomniał się; nie wiedział sam, co robi. Zawsze się tak zapominał, zanadto ruchliwe miał ręce i ciągle coś psuć musiał, sam nie wiedząc o tem. Tutaj „niechący“ pokrajał ceratę na stole, tu podarł ważny papier, tam porysował książkę albo własny kajet, ukreślił sobie guzik u kurteczki, ktoby policzył zresztą wszystkie psoty!

A wszystkie—„nieumyślnie“.

Wandzia zostawiła lalkę na stoliku, Oleś niby się uczy, wziął lalkę do ręki, sam o tem nie wie i już noga ukrecona. Mama nie zamknęła maszyny do szycia, bo odeszła na chwilę, — już igła złamana, — spostrzegł na sofie zabawkę Tadzika, już pajac bez głowy, konik bez ogona, a rodzeństwo płacze, narzeka.

Najczęściej biednej Wandzi tak dokuczył, a potem wstyd mu było i przepraszał, ale co to pomoże?

Powracając z Zakopanego, stryj przywiózł mu raz z Krakowa bardzo ładne ubranie: spodnie w różowe paski, czapczkę z barankiem i sukmankę białą. Oleś dzielnie w tem wyglądał i zawczasu myślał sobie, jak to będzie wesoło na okrężnem tańczyć w krakowskim stroju. Hu, ha! Krakowiaki już sobie układał.

Czerwona czapeczka, złota podkóweczka,
Krakowski parobek, kujawska dziewczeczka,
To para!

I tymczasem z Wandzią wykręcał się w kółko.

Mama mu wyszyła wzorzysto koszulę, ojciec kupił buty wysokie, zaproszono więcej dzieci i Oleś cały tydzień nie mógł myśleć o niczem innym, tak bardzo się cieszył nadzieją zabawy, jakiej dotąd nie znał jeszcze.

Nadeszły i dożynki,—w dziecięcym pokoju mama przygotowała dla dzieci ubiory, bo i Wandzia miała przebrać się za krakowiankę, w niebieską spódniczkę i czarny gorsecik. Oleś nie mógł się doczekać tej chwili i wcześniej przybiegł, aby się już przebrać, ale—na progu stanął jak posąg kamienny: czteroletni Tadzio z dużemi nożyczkami w ręku odcinał od sukmanki czerwone tasiemki i świecące guziki.

Można sobie wyobrazić, co się tam działo za chwilę.—Oleś tupał nogami i ryczał tak strasznie, że w całym dworze słychać było. Tadzio krzyczał też z całej siły, bo się przestraszył Olesia, a Wandzia pomagała braciom.

Nadbiegła mama przestraszona, ale spojrzawszy na śliczną sukmankę, sama zmartwiła się bardzo.

— Ten szkaradny, niegodziwy, obrzydliwy chłopak!—krzyczał Oleś, potrząsając małego braciszka.

Mama go odsunęła.

— Tadzio nie wie, co robi—rzekła—jeszcze mały i choć żał mi cię szczerze, muszę ci przypomnieć, że nie masz prawa gniewać się na niego. Przypomnij sobie tylko, ile razy ty jemu wyrządziłeś nie mniejszą przykrość, a zdawało ci się, że jesteś niewinny, bo

przecie to „niechący”. Szkoda sukmanki, ale może ten wypadek nauczy cię uważać na swoje własne czyny,

Słowa mamy nie pocieszyły Olesia, długo uspokoić się nie mógł i zabawę miał zepsuta. Ale odtąd rzeczywiście stał się uważniejszym, widać, że dobrze pamiętał sukmankę i przykrość, jakiej doznał na widok jej zniszczenia.

Nie czynь drugiemu, co tobie niemiło.



Psotnik.



Psotnik nielada
Tadzio maleńki!
Psuje zabawki,
Plami sukienki.

Dokucza siostrze,
Mamy nie słucha,
A cioci szepce
Ciągłe do ucha:

Proszę konfitur
I piernik wielki,
I znowu płata
Różne figielki!



Czyja wina?



Mówią wszyscy—(wierzyć proszę),
Żem trzpiot, nawet urwis mały,
Żadnej nie da nikt pochwały,—
 Za cóż ja to znoszę?

Bo dlaczegóż trzpiot?—Że mama
Każe szklanke podać—wstaje,
Tłukę szklanke.—Słowo daję,
 Że stłukła się sama.

Urwis—żem od innych inna
I drabiny się nie boję?
Wlazłam—szczebel trzask na dwoje!
 To ja temu winna?

Albo proszę: Woła tatko,
Więc się zrywam, biegnę, nagle —
Trrr!—sukienka, jak dwa żagle,
 Rozdarła się gładko!

W czemże wina tak okrutna,
Że się zaraz mama gniewa?
Szklanka ze szkła, szczebel z drzewa,
 A sukienka z płótna!

K. Gliński.



Wolność, Tomku, w swoim domku.



Paweł i Gaweł w jednym stali domu,
Paweł na górze, a Gaweł na dole,
Paweł spokojny, nie wadził nikomu,
Gaweł najdziksze wymyślał swawole.
Ciągle polował po swoim pokoju:
To pies, to zając, między stoły, stołki,
Gonił, uciekał, wywracał koziołki,
Strzelał i trąbił i krzyczał do znoju.

Znosił to Paweł, nareszcie nie może,
Schodzi do Gawła i prosi w pokorze:
— Zmiłuj się, waćpan, poluj ciszej nieco,
Bo mnie na górze szyby z okien lecą.

A Gaweł na to:

— Wolność, Tomku, w swoim domku.
Cóż było robić? Paweł ani pisnął,
Wrócił do domu i czapkę nacisnął.

Nazajutrz Gaweł jeszcze smacznie chrapie,
Aż tu z powały coś mu na nos kapie.
Zrywa się z łóżka i pędzi na górę:
Stuk, puk! Zamknięte. Spogląda przez dziurę
I cóż tam widzi? Cały pokój w wodzie,
A Paweł z wędką siedzi na komodzie.

— Co waćpan robisz?

— Ryby sobie łowię.

— Ależ mospanie, mnie kapie po głowie!

A Gawęł na to:
— Wolnoć, Tomku, w swoim domku.

Z tej to powiastki morał w tym sposobie:
Jak ty komu, tak on tobie.

Al. Fredro.



Kłopoty kury.



Stara kura głową kiwa:
— Co ja pocznę, nieszczęśliwa?
Wychowałam kacząt stadko,
Jestem przecie niby matką,
A nie mogę dojść do ładu
Z piskletami,—gadu, gadu,
One swoje, a ja swoje,
I stąd ciągle niepokoję.

Siły stracę do ostatka...
Ot, dziś,—patrzę, a gromadka,
Zamiast bawić się na trawce,
Pływa sobie po sadzawce.
Krzyczę, naglę do powrotu,
Śmieją się z mego kłopotu,
Wyskubują drobną rzęsę,
A ja w strachu, aż się trzęsę.

Jak im zmokną drobne piórka,
Co to będzie?—Dają nurka—

Aj! aj! toną!—ledwie żyję!
Tak mi z trwogi serce bije.
A za niemi na głębinę,
Choćbym chciała, nie popłynę.
Mnie najzdrowiej w słonka blasku
Wygrzać się na ciepłym piasku,
Ja mam nogi, a nie wiosła,
Falaby mnie nie uniosła.
Oj, oj, czuję, jakbym snadnie
Znalazła się w błocie na dnie...
Na myśl samą dreszcz przenika,
Wolę wrócić do kurnika.

M. Dynowska.



O d w a g a.



Józio nie był odważny: bał się ciemnego pokoju, bał się sam zostać, czy to w domu, czy w ogrodzie, bał się psów obcych, nawet krowy, bo mu się zdawało, że każda chce go wziąć na rogi.

Nie miał sióstr ani braci, tylko mamę, którą bardzo kochał. Mama się martwiła, że ma syna tchórza i jemu nieraz wstyd i przykro było i chciał, a nie mógł się poprawić.

Pojechał z mamą na wieś na letnie mieszkanie i mieszkali w chacie wiejskiej, ale dnia pierwszego tak się sprezentował, że wszystkie chłopskie dzieci naśmiały

się z niego do woli. Prosiak uciekł z chlewka, więc sześciolatnia Kasia zaczęła go zaganiać; Józio stał na podwórzu i prosię zawróciło się nagle ku niemu. Aż tu chłopczyk wrzasnął tak strasznie, że Kasia się przewróciła, prosię zlekło i uciekło aż za furtkę, a sama gospodyni co tchu wybiegła z chaty, myśląc, że kogo zabijają.

I już potem wszyscy uśmiechali się, patrząc na niego, bo zawsze mieli na myśli ten wypadek.

— Idź, Józiu, w pole — prosi nieraz mama — narwiesz kwiatków na bukiety, ja na ciebie przez okno patrzeć będę.

— Pójdę, ale z mamą.

— Czegóż się boisz?

— Nie wiem.

— Przecież to tak bliźniutko.

— Moja złota matusiu, sam nie mogę.

I tak patrzy smutnie, że mama go żałuje i już nie namawia. Ale ponieważ nie chce, żeby był w pokoju, więc sama z nim wychodzi: na łąkę, do lasu, nawet do ogródka przed domem, bo pies jest na podwórzu i Józiovi się zdaje, że ma złe zamiary.

Bardzo to mamę męczy, bo ma i zajęcie i nie jest zdrowa, więc sił dosyć nie ma na te ciągłe spacery i wstyd wreszcie, żeby chłopiec 9-letni jeszcze niańki potrzebował.

Chodziła z nim jednakże co dzień z rana i po obiedzie, a potem nie mogła się wcześniej położyć, bo szyć musiała albo prasować dla niego, to też wkońcu zachorowała i przez parę dni wcale nie mogła wstać z łóżka.

Józio siedział wciąż przy niej, czytał jej, rozmawiał, podawał wszystko, czego potrzebowała, ale mama myślała sobie, że robi to nietylko z przywiązania, lecz dlatego, że bez niej nigdzie iść nie ma odwagi.

— Ach, taki mam apetyt na poziomki — powiedziała raz do Józia, a nikt teraz nie przyniesie, bo wszyscy zajęci u żniwa.

To była prawda, dawniej dziewczęta co dzień biegały do lasu na poziomki, ale teraz nikt i nie myślał o nich.

— Może kto przyniesie — rzekł Józio nieśmiało. Mama westchnęła tylko i przymknęła oczy, jakby chciała zasnąć.

Wtedy zdawało się Józiovi, że ktoś mu bezustannie powtarza: idź po poziomki, idź po poziomki.

Zerwał się, wziął garnuszek i pobiegł do lasu. Bał się, ale tak pragnął dogodzić matysi, która dla niego zawsze dobrą była, i którą przecież kochał, że nie myślał o strachu. Prędko nazbieram i prędiutko wróć — powtarzał sobie i biegł, aż oddychać nie mógł.

Przybiegł wreszcie do lasu. Pusto tu i cicho, nikogo niema. Józio nigdy jeszcze nie był sam jeden tak daleko od domu, więc mu serce bić zaczęło i zdawało mu się, że drzewa mówić będą, że stanie się coś okropnego. A tymczasem nic się nie stało. Spojrzał na poziomki i zaczął je zbierać. Uspakajał się, widząc, jak mu przybywało do garnuszka i tak mu to było przyjemnie, że zapomniał o strachu.

To się mama ucieszy! to jej będą smakowały! — myślał sobie.

Wtem pęc! i coś go uderzyło w szyję.

Józio aż zamknął oczy. Rozbójnicy! zabijają go pewno za chwilę.

Nie śmie oczu otworzyć, ani się obejrzeć. Ale nic. Nikt go więcej nie uderza.

Więc otwiera oczy, patrzy — nikogo niema. Ze strachem podnosi głowę, a na gałęzi sosny siedzi sobie wiewiórka i szyszkę w łapce trzyma.

Ach to ona! — pomyślał i znów mu się wesoło zrobiło. Prędko jednak zbiera jagody, żeby już wrócić do domu. Co tam strach — powtarza sobie — przecież się wiewiórki nie boję.

Wtem coś się poruszyło pomiędzy krzakami. Józio znów stanął i ruszyć się nie śmie, nawet oczy zamknął na chwilę, ale je zaraz otworzył: może to wiewiórka?

Nie, nie wiewiórka, tylko krowa zabłąkana łązi i czegoś szuka, pewno drogi. Józioowi śmiać się chciało i z krowy i z siebie, przestał się bać zupełnie. Napęłnił garnuszek i powrócił do domu.

Mama tak się ucieszyła, że wyzdrowiała wkrótce i bardzo była szczęśliwa, bo Józio nabrał odwagi i sam zaczął chodzić wszędzie i do lasu i w pole i dziwił się tylko, że mógł być dawniej tchórzem.

— Trzeba tylko raz się nie bać — mówił potem innym dzieciom, a strach sobie od nas ucieknie na zawsze. A jak to miło być odważnym.

I wyrósł na dzielnego zucha.



Stefek Burczymucha.



O większego trudno zucha,
Niż był Stefek Burczymucha.

— Ja nikogo się nie boję!
Choćby niedźwiedź, to dostoję!
Wilki?— Ja ich całą zgraję
Pozabijam i pokraję.

Lew? Cóż lew jest? Kociak duży.
Naczytałem się podróży
I znam tego jegomości,
Co zły tylko, kiedy pości.

Szakał? wilk?—Straszna nowina!
To jest tylko większa psina!
(Brysia mijam zaś z daleka,
Bo nie lubię, gdy kto szczeka).

Komu zechcę, to dam radę,
Zaraz na ocean jadę
I nie będę Stefkiem chyba,
Gdy nie schwyczę wieloryba.

I tak przez dzień boży cały
Zuch nasz trąbi swe pochwały.

Aż raz usnął gdzieś na sianie.
Wtem się budzi niespodzianie,
Patrzy, a tu jakieś zwierzę
Do śniadania mu się bierze.

Jak nie zerwie się na nogi,
Jak nie wrzaśnie z wielkiej trwogi!
Pędzi, jakby chart ze smyczy,
— Tygrys! tato—tygrys!—krzyczy.

— Tygrys?—ojciec go zapyta.
— Ach, słoń może! Miał kopyta,
Straszne, wielkie cztery nogi,
Paszczę taką! przytem rogi.

— Gdzież to było?
— Tam na sianie,
Właśnie porwał mi śniadanie.

Idzie ojciec, służba cała,
Patrzą, a tu myszka mała,
Polna myszka siedzi sobie,
I ząbkami serek skrobie.

M. Konopnicka.



Mały strzelec.



Hej, zarzucę broń na ramię
I dalejże w las,
Sarny, lisy i zajączki,
Powystrzelałam was!

Za zwierzyną gonię śmiało
Wśród krzaków i traw,
Broń do oka, celuj, strzelaj!
Pif! puf! paf!

Nicem dotąd nie przytroczył
Do torebki swej,
To nie moja przecież wina,
Tylko fuzyi mej!

Niech tam zresztą zwierz po lesie
Buja sobie zdrów!
Ja poluję, aby strzelać:
Pif! paf! puf!



Polowanie.



Hej, zabrzmiało trąbek granie,
Polowanie! polowanie!
Naszczekują psy zawzięte,
Zmyka zwierzę, strachem zdjęte.

Pędzi zając hyżonogi,
Lis unika prostej drogi,
I wąż zwinny i jaszczurka
W gęstą trawę dały nurka.

Co się dzieje! Co się dzieje!
Cały las się w strachu chwieje.
Psy, myśliwi biegną lasem
Z wielkim gwarem i hałasem.

Biedna sarna z sarniátkami
W gąszcz się kryje przed strzelcami,
Oj, sarenko nieszczęśliwa,
Oj, nie ujdiesz ty im żywa!

Bliżej, bliżej trąbka dzwoni,
Wyżeł szczeka, ogar goni,
Nie zważają na przeszkody,
Na poziomki i jagody.

Wszystko w strachu, wszystko w trwodze,
Co myśliwy ma na drodze.

Tylko robak, co ma różki,
Nie boi się ani troszki,
Siadł na dębie, gdzie żołądzie,
Jemu złego nic nie będzie!

Psy szczekają coraz ciszej,
Biedna sarna ledwo dyszy,
Trzask! Już padła! Już nie wstanie!
Hej, skończone polowanie!

Or-Ot.



Do lasu.



Do lasu, do lasu!	Tam dla nas wśród drzewa
Biegnijmy zawczasu,	Chór ptasząt zaśpiewa.
Tam słońko nie grzeje,	Tam kwiatki pachnące
Tam chłodniej wiatr wieje,	I jagód tysiące

Wołają nas skromnie:
— Pójdź do mnie! Pójdź do mnie!



W lesie.



Stare dęby, piękne buki
Umajone stoją,
A obwisłe gałązeczki
Białą brzozę stroją.

Balsamiczny zapach sosny
Wiatr wkoło roznosi,
Przy gniazdeczku na leszczynie
Ptaszek piosnkę głosi.

Tam wiewiórka zwinna skoczy,
Tu dzięciół zapuka,
Tam dziewczyna jasnowłosa
Jagód w lesie szuka.

A tam strumień wśród olszyny
Szemrze gdzieś z daleka...
Jak tu miło! nawet nie wiesz,
Że słońko dopieka.

J. Warnkówna



W lesie.



Piękne są w lecie pola i łąki zielone, ale las chyba najpiękniejszy ze wszystkiego.

Tak sobie zawsze myślał Jaś pastuszek, bo las ogromnie kochał. Biedny był, matka ciężko pracowała, ażeby jego i siebie wyżywić, to też nieraz w zimie bardzo źle mu było: i zimno i smutno.

Za to z wiosną jakby się budził do życia: hej, hej, na pole! na lasy! wykრęcać fujarki, śpiewać, a skakać po błoni, spoglądając na swoje krowy, żeby nie weszły w szkodę.

A kiedy lato przyszło, to się i nie ruszał z lasu. Krowy skubią trawę, a on na pniaku siedzi i śpiewa na wyścigi z kosami i wiwilgą, to znów gada do siebie, czy może z drzewami rozmawia, z wiewiórkami, jak z przyjaciół; albo jagody zbiera, kbiałeczki z kory robi, albo łódki.

Oj, dobrze, dobrze, zielono, wesoło!

Lutek przyjechał na wieś na wakacje, spotkał w lesie Jasia i tak mu się podobało wszystko, co biedny chłopiec opowiadał, że uprosił mamy, aby mu pozwoliła na cały dzień z pastuszką iść do lasu.

Ogromnie cieszył się na tę przyjemność, lecz choć wstał bardzo rano, Jasia nie zastał już w chacie, pobięł więc za nim do lasu.

Z daleka go usłyszał i znalazł go łatwo, siedział sobie chłopiec na zwalonem drzewie i wyśpiewywał, co mu głosu stało.

— Wesolo ci?—rzekł Lutek.

— Co niema być wesolo? Tak dobrze na świecie! I Pan Bóg dobry, co słoneczko zsyła, i słoneczko, co świeci, i ta ziemia mokra dobra, bo nas karmi, i roślinki zielone, i drzewa, co pachną i szumią, i wiewiórki i ptaki i te jagody słodkie, co jakby wołały:— Patrz, jaka ładna jestem,—to dla ciebie!

Lutek się obejrzał—i prawda: tak wszystko, jak Jasek mówi,—drzewa pachną i szumią, świecą listki młode, czerwienią się poziomki, słonko świeci, dobrze, cicho, a radośnie, jakby w raju.

Na gałązce brzozy usiadł mały ptaszek i świergoce: Jak tu dobrze, jak dobrze, jak wesolo! Kochane słonko grzeje, kochany las karmi, bezpieczne nasze gniazda pod listkami, a co ziarenek, co jagód, co robaczków! Kochany las, kochany!

A zielony żuczek usiadł w plamce złotej, grzeje się na słoneczku, skrzydełkami brzęczy, kąpie się w ciepłych, złocistych promieniach i śpiewa: Dobrze, dobrze, drogie, miłe słonko!

A kwiaty leśne chylą główki w różne strony i kołyszą się cicho, pachnące i śliczne.

Zajaczek przebiegł, skoczyła wiewiórka, zabręczały muszki, przeleciał wiaterek i drzewa szumią jakąś pieśń szczęśliwą, widać, że wszystkim dobrze.

Zdala słyhać głos dziewczyny, zbiera jagody i śpiewa radośnie:

Danaż moja, dana, dana,
Jagódeczko, pójdź do dzbana.

Jaś schylił się za kłodę, na której z Lutkiem siedzieli, i z kryjówki zaczął wydobywać skarby: kobiałeczki z białej kory, łyżkiem zeszywane, łódki, domki z kory, koszyczki, figurki, z drzewa wykrawane. Lutek wydziwić się nie mógł.

— Nauczże mnie to robić.

— Czemu nie. Nazbierali zaraz kory, gałązek, łyżka zapas Jaś miał przygotowany, i zaczęła się nauka.

— Cóż ty z tem wszystkim zrobisz?—pytał Lutek, dumny z pierwszej kobiałki, choć niebardzo mu się udała.

— A cóż? Koszyczki napelnę poziomkami i poniosę do dworu, to je kupią, i będę miał pieniądze dla matusi. A te cacka to schowam do jarmarku, kupią je w miasteczku i też będę miał parę groszy, — tylko ten śliczny gaik i tę krówkę to już Panu Bogu postawię w kościele, bo już nie mam się czem wywdzięczyć, że też taki jest dobrotliwy i ten piękny świat stworzył, co się serce do niego wyrывa.

Lutkowi jedna łódka tak się podobała, że chciał ją sobie kupić i dawał Joziovi pieniądze. Lecz pastuszek nie chciał pieniędzy.

— Mogę ci to dać—powiedział—wielkie rzeczy! To tak miło dać komu, czego pragnie. Żebym ja był bogaczem, ho, ho! toćbym tylko i myślał o tem, co ludziom rozdawać. A i teraz—każdy daje, co może: ziemia same skarby, drzewa zapach, owoc i cień chłodny, ptaki śpiew i wesołość, lada robaczek miód składa albo jajko swoje oddaje ptaszynom, a słońko co nam daje szczęścia i radości, a wiewiórka, co uciechy—i cóż to ja mam nie dać nic nikomu? A co ja za taki jestem już nędzota?

W południe zjedli chłopcy, co mieli ze sobą, dołożyli jagodami, popili wodą ze strumyka i dość mieli. Ścigali się potem z wiewiórką, śpiewali z ptakami, oglądali ciekawe robaczki, roślinki, nazbierali pozioemek do króbeczki, żeby je z sobą zabrać, to znów słuchali, jak strumyk rozmawia z kwiatami, które nad brzegiem rosną, i zdziwili się bardzo, gdy spostrzegli, że słońce już zachodzi, czas wracać do domu.

A żal ślicznego lasu, co tyle ludziom daje, że i nie wyliczyć, bo w nim, jak w Bożym skarbcu, jak w chacie rodzonej, i wyjść się nie chce i kochać go trzeba, bo nasz, jak brat, jak ojciec, jak przyjaciel — otuli i ogrzeje i nakarmi, i nauczy—nasz las!



J a g o d a.



Po brzozowym, cichym lesie
Dziewczę idzie, dzbanek niesie,
Niesie dzbanek z jagodami,
Z jagodami z borówkami.

O dla Boga, co się dzieje!
Kto się śmieje? Las się śmieje.
Kłaniają się przed nią drzewa,
Ona śpiewa i las śpiewa.

Więc przystanie, dech zatrzyma,
Patrzy wkoło i nic niema.

Dzięcioł, co ma dziobek spory,
Płoszy stukiem coś z pod kory,
I wiwilga coraz świśnie —
Gęstwa, ledwo się przecisnie.

Z pod jałowca zając skoczy,
Z otwartymi śpiący oczy.
Oj frunęło coś z orzecha,
Już powiadam, że uciecha!

Z czubka drzewa coś się chwieje,
Choć najmniejszy wiatr nie wieje.
Coś zalata, cości słyhać,
Aż się piersiom chce oddychać.

Nocą spadły świeże deszcze,
Bo się krople świecą jeszcze,
I na wrzosie, co mnie moczy,
Jak perełki stoją oczy.

Danaż moja, dana, dana,
Jagódeczko, pójdź do dzbana!

T. Lenartowicz



Jagódki.



Cesia sobie w kącie siadła
I jagódki chciwie jadła,
Całą rączką zawsze brała,
Bo jagódek mama dała.

Wkrótce chciała zbierać sama.
Pozwoliła na to mama.
Od świtania przez dzień cały
Zebrała garnuszek mały.
Wtedy sobie w kącie siadła
I jagódki śpilką jadła.

St. Jachowicz.



Na jagodach.



Nadszedł święty Jan,
Niosąc jagód dzban.
Hej, do lasu, hej! do lasu,
Nie marnujmy próżno czasu,
Idźmy zwawo wraz.

Patrzcie, patrzcie! o poranku
Będzie pełno jagód w dzbanku,
Bo gdzie spojrzeć, w którą stronę,
Tu są czarne, tam czerwone,
Wszystkie wabią nas.

Ach, ty Boże mój!
Jakiż ptasząt rój!
Pełne krzaki, pełne drzewa,
Jedno kuka, drugie śpiewa,
To szare, to pstre.

Czegóż wszystkie razem nucą?
Czy się cieszą, czy się kłóca?
Takim krzykiem, takim śpiewem,
Jakby łąjąc chciały z gniewem
Za jagódki te.

Cicho, ptaszki, dość ich wszędzie,
I nam będzie i wam będzie,
Czerwienią się w trawie krocie,
Starczy ludziom na łakocie
I na pokarm wam.

U nas w chacie głód i bieda,
Jutro matka w mieście sprzeda
Te jagódki, bo potrzeba
Na przednówku soli, chleba,
Na posiłek nam.

E. L.





Śpiochy.



Niektóre dzieci lubią późno wstawać, ale żadne z was pewno nie zna takiego śpiocha, jakim był Miś kudłaty, wielki, stary niedźwiedź.

Przez lato włóczył się zwykle po lesie, mrużąc pod nosem; tu pogłaskał zajączka, tak że biedak ani zipnął, tam pokosztował jagód, tu znowu pokłócił się o miód z pszczołami. Jadł bardzo dużo i łakomie, to też wkońcu tak utył, że ledwo mógł chodzić.

Cieszyły się z tego sarny i zajączki, bo łatwiej mogły uciec przed tłuszczem.

Przybliżała się zima. Ciężkie niedźwiedzisko zaczęło słać sobie wygodne posłanie. Wykopał dół obok wielkiego kamienia, naznosił mchu, trawy, liści, — niedługo się ułoży i zaśnie tak twardo, że się nie obudzi aż na wiosnę.

Rade są temu pszczołki i wszystkie zwierzęta, ale powiedcież same, czyby które z was mogło spać przez całą zimę?

A może znacie więcej takich śpiochów?

Poszukajmy ich trochę w lesie.

Pod korzeniem starego drzewa jest niewielka jamka, wcisnąć się do niej trzeba między kamieniami, żółte liście i piasek zasypały otwór, śnieg go przykrył zupełnie.

Ale na wiosnę śnieg stopnieje znowu, wiatr zmiecie liście i z jamki z pod drzewa wyjdzie też śpioch, który spał tam całą zimą, jeź kolczasty, na krótkich nóżkach, z ryjkiem i z małutkimi oczkami.

A i tam się coś rusza pod dużym kamieniem, z pod mchu ukazuje się niewielka głowa i twardy pancierz zbudzonego żółwia. I on spał od jesieni i czekał, aż z wiosną zbudzi go ciepłe słońko.

A kto zna więcej śpiochów?



Z a g a d k a.



Mieszka w lesie jedna pani,
Miękkie, rude futro na niej,
Ma dwa uszka, cztery łapki,
Ostre ząbki, cienkie chrapki.

W starej dziupli mieszka w borze,
Więc rycerzem być nie może,
Jednak często jej wykwita
Ponad główką długa kita,

Jak na wojnie u wojaka
Strusie pióro z nad szyszaka.
Z krzaka w krzak, z drzewa na drzewo
Skacze wprawo, skacze w lewo,

Gdy bieganiu zaś nierada,
Na gałęzi zręcznie siada,
W przednich łapkach orzech trzyma,
Potem trzask! chrup! już go niema.

A więc pytam, jak się zowie
Pani owa? Kto odpowie?
Stefan, Julek, czy Haneczka?
No? Raz, dwa, trzy!...

M. Dynowska.



Młoda wiewiórka.



Wiewióreczka mała po drzewach skakała,
A mama wiewiórka, wyszedłszy raz z lasu,
Tak rzecze:—Ej, córko, korzystaj ty z czasu,
Pośpieszaj, byś plony zebrała!

Lecz córka-wiewiórka niebardzo słuchała.

Wtem przyszła zima,
Orzeszków niema!
Buczyny ani śladu!
Ni śniadania, ni obiadu.

I nieposłuszna córeczka,
Śliczna, mała wiewióreczka
Musiałaby już za młodu
Umrzeć z głodu.

Gdyby mama-wiewiórka ze swego zapasu
Orzeszków jej nie dała, zebranych zawczasu.

Cóżby się stało, gdyby i mama-wiewiórka
Taka była leniwa, jak wiewiórka-córka?



Wiewiórka i małpa.



Jeszcze w zielonej skórcie
Dostał się orzech wiewiórcze,
Ledwie go dotknie drobnymi ząbkami,
Jakże mię—rzecze—moja matka mami,

Nieraz mi opowiadała,
Że orzeszek potrawa arcydoskonała.
Dziękuję za nią! Wtem rzuci orzechem.
Podjęła go małpa z śmiechem,

Bierze w łapki, rozłupywa,
Słodkie ziarnko wydobywa,
I gdy je zajada sama,
Rzecze wiewiórcze.—Dobrze mówi mama,

Dobry orzeszek, lecz trzeba zgryźć wprzód.
Musi ten popracować, kto chce mieć wygody.

St. Jackowicz.





R a b u ś.



Mieszkał w lesie straszny rabuś i rozbójnik, wielkie stare wilczyisko. Zęby miał duże, mocne, oczy świecące, jak dwa ogniki, ostre pazury i ciepłe futro. Podobny był do psa dużego, tylko ogon miał ciężki i spuszczoney.

A co broił, co broił!

W dzień krył się w gęstwinie, spał najczęściej, głodny nie był, wypoczywał. Ale w nocy! W ciemności między drzewami z daleka świeciły jego oczy, a gdzie zaświeciły, tam świeża krew pewno splamiła mech lub

trawę. Tu młody zajączek tylko pisnął żałośnie i upadł nieżywy, na przekąskę drapieżnemu żarłokowi. Tam jagnię zabłąkane rozszarpał na łące;—tam się podkradł aż do owczarni;—tu źrebca, pasącego się w nocy, skaleczył,—tam zadusił krowę przy pomocy swoich przyjaciół,—niktby szkód nie naliczył. Nieraz słońce podniosło się wysoko, a on dopiero wracał z polowania, obżarty, pokrwawiony, z groźnemi ślepiami i pełnym brzuchem.

Aż tak się rozzuchwalił, że i na ludzi się rzucał. Mały pastuszek ledwo uciekł przed nim, dziewczynę na jagodach pokaleczył, tylko pies ją obronił, a staruszkę, co chodziła po proszonym chlebie, napadł pod lasem, zadusił i pożarł. Chłopi znaleźli resztki jej ciała, ubranie i żebraczą torbę z chlebem i groszami.

Wtedy powiedział jeden: czekaj, panie wilku!

Wykopał dół głęboki, ogromnie głęboki, wrzucił do niego prosię i dół przykrył gałęziami.

Prosię kwiczy, aż się po lesie rozlega, — wilk posłyszał, podniósł oczy, ślepie mu zaświeciły i biegnie, szuka, rozrzuca gałęzie, wtem—buch do jamy!

Oj, zły był, zły wilczyisko. Wył tak przeraźliwie, że go o wiorstę we wsi słychać było, ale wieśniacy cieszyli się z tego i nikt mu nie przyszedł na pomoc.

Wkońcu zdechł sobie z głodu, bo się wydostać nie mógł. Taki los spotkał rabusia. Czy słusznie?



Wilk.



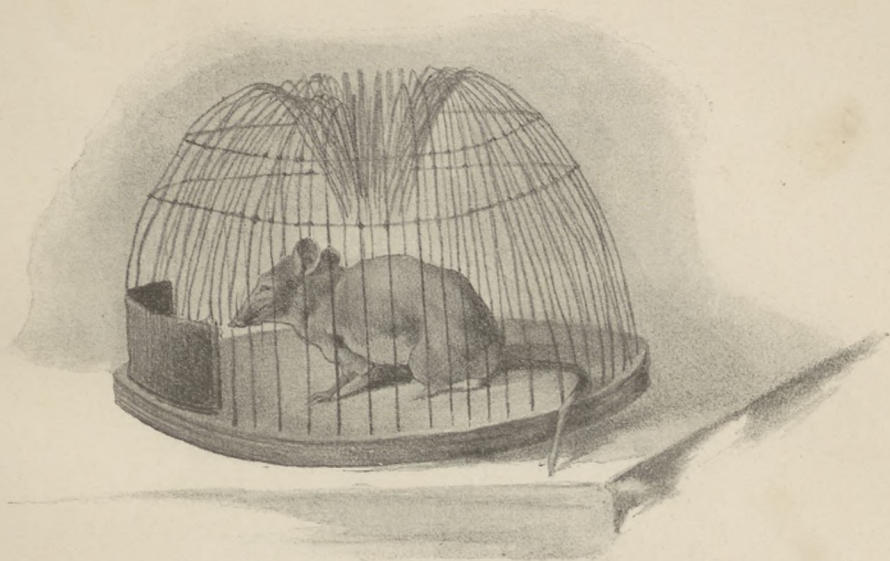
Noc—śnieg—wicher... Wtem dwa krwawe
Światła błysły gdzieś z daleka,—
To wilk wyszedł na obławę,
Rzucił ciemny las i czeka.

Już usnęła wioska blizka,
Psy kudłate się pospały —
On białymi kłami błyska,
A z chciwości aż drży cały.

Tak ostrożnie, choć ospale
Zbój ten rusza na wyprawę...
Oczy świecą, jak korale,
Nieruchome, straszne, krwawe...

K. Gliński.





⤵ Złapana myszka.



Nie słuchałaś
Myszko mamy,
Po kryjomu
Wyszłaś z jamy.

Chciało ci się
Jeść słoninę,
A masz teraz
Smutną minkę.

Czemu byłaś
Nieostrożna?
Teraz z łapki
Wyjść nie można.

Dom rzuciłaś
Dla łakotek,
Więc za karę
Zje cię kotek.

Wł. Betza.



Myszki.



Myszka młoda, roztrzepana,
W pułapkę złović się dała,
I nieboga sfrasowana
Na swą dolę narzekała.

Myszek dość liczna gromada
Wnet pułapkę obstąpiła;
Rozpoczęła się narada:
— Jakżeś ty się tu złowiła?

A! słoninki się zachciało!
Fe! łakomą być nieładnie,
Widzisz teraz, co się stało,
Źle, gdy się w pułapkę wpadnie!

Teraz cierpisz z własnej winy,
Pocoś taka nieostrożna?
Poco się brać do słoniny?
Czy to wstrzymać się nie można?
— Ach,—biedna myszka zawoła—
Ganić wy wszystkie umiecie,
To nic nie pomoże zgoła,
Lepiej poradźcie coś przecie.

Bożenna.



Lis i kurka.



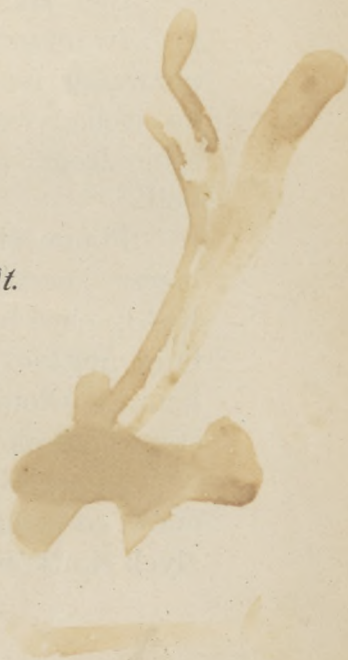
Do podwórka pode dworem
Podszedł lisek sobie:
— Chodź, kureczko, kochaneczko,
Ja ci nic nie zrobię.

Jam przyjaciel twój najszczerzy,
Na spacer pójdz ze mną..
— Mój ty lisku—rzekła kurka—
Prosisz nadaremno.

Mówiła mi nieraz mama,
Bym się lisów strzegła.
I czempredzej mądra kurka
Do matki pobiegła.

A lis chytry zwiesił kite,
Powłókł się do lasu,
Szkoda było, panie lisie,
Czasu i atlasu.

Or-Ot.



W jesieni.



Nigdy jeszcze Stefanek nie był tak długo na wsi, jak w tym roku, bo zwykle trzeba było pośpieszać do szkoły, a teraz z powodu przebytej choroby o cały miesiąc później miał wrócić do miasta.

Wesoły to był miesiąc: na świecie tak pięknie, słońce już nie dokucza, a co bogactw wszędzie: w polu, w lesie, w ogrodzie.

Las jak spiżarnia; tyle w nim borówek, grzybów, rydzów, orzechów, zbieraj pełne worki. Nieraz mama pozwalała mu z Władkiem i Józkiem, chłopcami ogrodnika, jechać we trzech małą bryczulką „na łowy“. Jadą sobie drogą pomiędzy drzewami i śpiewają, że gardło boli.

Potem się zatrzymują, konia przywiązali i każdy bierze koszyk lub woreczek. Co śmiechu, co uciechy! Każdy chce być najpierwszym, najwięcej nazbierać, rabują giętkie gałęzie leszczyny, nie przebaczą maślakom i kurkom i wkrótce kosze pełne, worki pełne, chyba stara Bułanka nie uciągnie.

A najedli się przytem co najpiękniejszych orzechów, co najczerwieńszych borówek, aż im strach, żeby złych skutków nie było.

Ale nic; znów pojada, mama przecież dobra, a to tak wielka przyjemność.

Albo w polu. Zboża już niema złotego, nie kołysze się z wiatrem; tu jeszcze ściernisko sztywne, twarde, kolące, a tam już pług orze czarną ziemię pod nowy zasiew,—albo kopią kartofle!

Co za radość zasiać razem z pastuszkami koło ogniska, dorzucać gałęzi, znosić chróst, szyszki, igły sosnowe, jałowiec; a płomień bucha aż prawie do nieba, iskrami strzela, dymem wiatr pomiata, a chłopcom oczy śmieją się z radości, bo to przecież oni zrobili.

Teraz niechaj wygaśnie, będą pieczone kartofle. Wybierają największe, najpiękniejsze, już dołek wygrzebany, popiołu jest dosyć, niech się dopala reszta ogniska na wierzchu, niech się pieką te polne pączki. Jaki zapach! Doprawdy, doczekać się trudno. To uczta, niech schowają się miejskie przysmaki. Cóż może być lepszego nad pieczone w polu kartofle?

Może zresztą w ogrodzie są i lepsze rzeczy, bo też ten ogród teraz aż pachnie od jabłek, aż się gałęzie łamią od gruszek, orzechów, a z pod zielonych liści pyszne, okazałe wyglądają żółciutkie winogrona; — tam ogórki, melony rozłożyły się na grzędach, tutaj ciemnieją śliwki,—wszystkiego obfitość, wystarczy dla człowieka i dla ptaszka, Bóg dla wszystkich zastawił tę ucztę jesienną.

Żal odjeżdżać,—a przyszła wreszcie taka chwila. Stefek rozumie, że nic mu już nie jest, a ojciec czeka i nauka, a tu ranki coraz chłodniejsze, coraz wcześniej słońce się chowa za lasem, — trzeba zostawić grzyby, rydze i borówki, kartofle w polu i jabłka w ogrodzie, jeszcze wszystkich zebrać nie można.

Ale na pożegnanie mama pozwoliła zaprosić wszystkich chłopców z całej wsi, z którymi bawił się podczas lata. Jan ogrodnik trochę się krzywi, bo ma tę wadę, że jest skąpy, a mama jakies wydaje rozkazy, które mu się nie podobają. Nic nie pomoże, bratku, mama od ciebie lepsza. Nasz ogród, ale nie na to Bóg przecie dał nam taki urodzaj, żebyśmy to wszystko dla siebie zatrzymali. On daje, ziemia daje, drzewa dają, a człowiek miałby być sknerą szkaradnym, co wszystko pragnie dla siebie zagarnąć?

O nie, mama nie taka, wszystkich przyjmuje gościnnie, podają mięso, chleb z masłem i ciastka; na podwórzu pyszna zabawa w żołnierzy, a na ochłodę mleko. Potem pożegnanie: ściemnia się, czas do domu. Każdy chłopiec zabiera koszyczek owoców i obietnicę, że Stefek każdemu przysła na wiosnę drzewka owocowe, ażeby miał ogródek własny koło chaty. Jan im pokaże, jak je zasadzić należy, jak się z nimi obchodzić.

Taką pamiątkę Stefek im zostawi i to mu sprawia radość niewymowną, bo niema nic przyjemniejszego na świecie, jak dzielić się tem, co mamy.



Odlot skowronka.



Skowroneczku, miłe ptasze,
Czemu rzucasz pola nasze,
Czemu lecisz w kraj daleki,
Tam—za góry, morza, rzeki?

Czy tam piękniej słońko wschodzi,
Lepsze ziarno ziemia rodzi?
Skowroneczku, miłe ptasze,
Czemu rzucasz pola nasze?

J. Warnkówna.



Jesień.

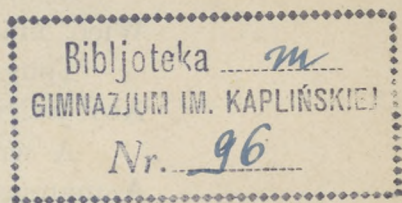


Zwiedły róże, lilije,
Odleciały już ptaki,
A z wiosieczki, kto żyje,
Idzie kopać ziemniaki.

Krówka dzwoni gdzieś w dali,
Skubie trawkę, jak może,
Nim śnieg pola przywali,
A ją zamkną w oborze.

Niby miło, a przecie
Smutno jakoś na świecie.

W sadzie dziadek już siwy
Wstrząsa drzewa, a dziatki
Zabierają do chatki
Gruszki, jabłka i śliwy.



W jesieni.



— Ach, mamusiu, cobym miała,
To dałabym za to,
Aby brzydka jesień znikła,
A wróciło lato.
Bo też popatrz, moja mamo,
Jak tu jest szkaradnie:
Co wiatr wionie, tysiąc listków
Na ziemię upadnie.
Wszystkie kwiaty powiędniały,
Ptaszki od nas odleciały,
Słońce chmurą się zakryło,
Zimno, błotno i niemiło.
Więc, mamusiu, cobym miała,
Tobym chętnie zaraz dała,
Aby jesień znikła za to,
A wróciło śliczne lato.
A mamusia rzeknie z cicha:
— Próżne twe marzenia,
Bo co Pan Bóg raz zarządził,
Tego nie odmienia.
Lecz choć jesień smutna, blada,
Dzisiaj cię przestrasza,
Da Bóg, wróci znów kolejną
Miłą wiosną naszą.

J. Strokowa.



Wiejska muzyka.



W każdej wiosce jest kapela,
Co rolników rozwesela,
W niej to wszelakie zwierzęta
Mają swoje instrumenta:
Kaczka kwacze, kracze wrona,
A geś gęga przestraszona,
Koza meczy, owca beczy,
A na płocie sroka skrzeczy.
Wróbel ćwierka, dzięcioł puka,
Kukułeczka w lesie kuka.
Bocian w gnieździe swem klekoce,
Żaba w stawie tam rechoce,
Kogut pieje kukuryku!
Gołąb grucha w gołębniku.
Kura gdacze, zniósłszy jaje,
Indyk indyczęta łaje.
Na przemianę psy szczekają,
Konie rzeniem się witają,
Krówka w stajni porykuje,
A wół basem jej wtóruje.
By muzyce dodać siły,
By jej głosy się zgodziły,
Młocki na boisku stają,
W takt cepami wybijają.



Nieszczęśliwy Bolesław.



Ogromna przykrość spotkała Bolesława: rodzice nie zabrali go z sobą na wizytę. Sam został z boną tylko i kudłatym Bzikim w domu.

To mi niedziela!

Bona zabrała książkę i zeszła z chłopczykiem do ogródka, ale Bolesław nie miał ochoty się bawić. Stał przy sztachetach i rozmyślał smutnie.

— Cały tydzień się uczę, a w niedzielę żadnej przyjemności! Okropnie jestem nieszczęśliwy. Co mi po takiej niedzieli? Każdy się bawi, ja tylko się nudzę, jestem najnieszczęśliwszy na świecie.

I łzy płynęły mu po twarzy.

Wtem spostrzegł z drugiej strony przy sztachetach bladą dziewczynkę z zasmoloną buzią i w podartej spódnicy.

— Po co tu stoisz?—rzekł niegrzecznie.

Dziewczynka się cofnęła przestraszona, ale nie odwracała oczu od zieloności ogródka.

— Wstydź się chodzić w niedzielę w takiej podartej spódnicy.

— A kto mi zeszyje?—spytała dziewczynka.

— A nie masz matki?

— Matka chora—szepnęła cicho.

Bolesławi żal się jej zrobiło.

— A cóż twój ojciec robi?—zapytał łagodniej.

— Ojciec robił buty, ale umarł, a matka chora i jeść nie gotuje.

— To cóż jesz?

— Wczoraj Marcinowa dała mi kawałek chleba, ale dziś niema jej w domu, bo niedziela.

— Może jesteś głodna?

— O, bardzo.

Boles zapomniiał o swoim nieszczęściu, pobiegł do domu, przyniósł mięsa i chleba, wpuścił dziewczynkę do ogródka, a dobra bona zeszyła jej spódniczkę i umyła buzię.

Rodzice wrócili wkrótce, ale Boles już nie narzekał, że jest nieszczęśliwy, opowiadał im tylko o biednej dziewczynce i prosił ojca, żeby posłał doktora do jej matki.

Od tego czasu, gdy go przykróść jaka spotkała, nie narzekał, bo zaraz sobie przypominał, że są nieszczęśliwsze dzieci: sieroty, chorzy, ubodzy, i dziękował Bogu, że ma zdrowie i rodziców.



Pszczoła i osa.



— Dzień dobry, siostró kochana!
Tak raz osa do pszczoły przemówiła z rana,
Gdy się przypadkiem
Spotkały nad kwiatkiem.
Niebardzo to pszczółkę po sercu pogłaska,
— Skądże ta łaska?
Ty moja siostra? Od jakiejż to chwili
Bogowie nas spokrewnili?
Na to jej rzecze osa rozgniewana:
— Moja kochana,
Czyli mało masz dowodu,
Żem z tobą jednego rodu?
Jedną ma postać osa i pszczoła,
Jedne nas żywią kwiaty i zioła,
Prace jednakie
I skrzydła takie,—
A gdy dalej poszperamy
I żądła jednakie mamy.
Na to rozsądna pszczółka odpowie jej śmieie:
— Wiele jest podobieństwa i różnicy wiele;
Lecz skoro wszystko weźmiemy na szalę,
Inna w nas natura wcale:
Nie chcę się sama chwalić, posłuchaj człowieka,
On mnie uwielbia, na ciebie narzeka.
Jednaką broń posiadamy,
Ale jak jej używamy?
Ty w niewinnem topisz łonie,
Ja tylko własności bronie.

St. Jachowicz.

Chłopczyk i wróbelek.



Mój wróbelku—rzekł chłopczyna —
Mróz na dobre brać zaczyna,
Puste pola i ogrody,
Wkrótce w lód się zetną wody.

Czemuś, ptaszku, wraz z innymi
Nie porzucił naszej ziemi?
Nie wzleciałeś, szaropióry,
Ponad rzeki, morza, góry,

Tam, gdzie tyle ptasząt leci,
Gdzie jaśniejsze słońce świeci,
Gdzie cieplejszy wietrzyk wieje,
Gdzie pogoda wciąż jaśnieje?

A wróbelek zaświergoli:
— Czy gdy matka jest w niedoli,
To porzucac ma ją dziecko?
Ten kraj jest mi matką przecie?

Tu się oto urodziłem,
Tu się latać nauczyłem,
Tu mi zawsze dobrze było;
Czyżby teraz się godziło,

Bym poleciał w inne kraje,
Że tam są urocze gaje,
Że tam więcej kwiatów, ciepła,
Gdy tu z zimna ziemia skrzepła?

O nie! ja tu zostać wolę,
Czy na dobrą, czy złą dolę,
Zniosę trudy—ha! głód może...
Bóg mi przetrwać dopomoże,

Lecz nie pójdę za innymi,
Nie porzucę matki-ziemi!

I zostało lube ptaszę,
Bo tak kocha strony nasze,
Że już nigdzie nie odleci.
Pamiętajcież o niem, dzieci!

H. Bojarska.



B a j k a.



W jednej pogańskiej księżce była taka powieść.

Potężny bożek stworzył człowieka i hojnymi obsypywał go darami: dał mu wzrok bystry i słuch doskonały, ruch i czucie, zdrowie i siłę, rozum i myśl wesołą, a wysyłając go na świat, podał mu spory choć lekki woreczek i rzekł:

— Tutaj masz skarb bezcenny; zdobyć go nie możesz ani pracą, ani rozumem, ani siłą; ale póki nie roztrwonisz tego, co ci dałem, nie obawiaj się śmierci; a jeżeli potrafisz dobrze spożytkować w życiu to bogactwo, to bardzo wiele rzeczy zdobyć możesz, bo to najpewniejszy we wszystkim pomocnik.

I spuścił swoje stworzenie na ziemię.

Leciał człowiek, otwierając ręce, niby skrzydła i brakło mu oddechu, tak gwałtownie spadał, ale nakoniec dotknął stopą ziemi, odbił się trochę, podskoczył i stanął.

— Ach! — westchnął sobie i aż kichnął ze zmęczenia.

Spojrzał po sobie — jest cały, i woreczek trzyma w ręku. Aha, to ten skarb. Zapragnął go obejrzeć. Bah, nic ciekawego, — proszek jakiś błyszczący, niby dyamentowy, drobniuchny i leciuchny, sypie się na wszystkie strony, a każdy pyłek błysnie w powietrzu i zgaśnie, i już go niema.

Mądry człowiek pomyślał i pokiwał głową.

— Nie marnuj tego—mruknął — łatwo to powiedzieć. Jakże go nie marnować, kiedy sam leci z wiatrem i jakże go utrzymam? Et, miałbym sobie czem

zaprzętać głowę, kiedy widzę przed sobą tyle pięknych rzeczy.

I rzeczywiście świat piękny był bardzo: słońce zlewało gorące potoki złotego światła, niebo jasne lśniło najczystszym błękitem, kwiaty rozlewały wkoło woń przecudną, a na drzewach nęciły wyborne owoce.

Po kilku dniach nacieszył się wszystkim, poznał okolicę i myśli sobie.

— Dobry ten bożek, że mi włożył w głowę rozum, przynajmniej wiem od razu, jak najlepiej mogę sobie urządzić życie: trzeba zbudować chatę, bo w noc nieprzyjemnie i niebezpiecznie bez schronienia; co najlepsze owoce wartoby też wybrać i nasadzić w pobliżu, bo dość daleko rosną.

Ale nie chciało mu się jeszcze wziąć do pracy, niechno świat lepiej pozna, niech się wszystkiemu przypatrzy, niech użyje pierwaj wszelkich przyjemności.

Upłynęło lat kilka. Chaty nie miał jeszcze i drzewek nie zasadził, ale postanowił sobie zrobić to już niedługo, bo sprzykrzyły mu się noclegi na drzewach i brak dachu nad głową. Miał też i inne plany: pośród zwierząt znalazł bardzo pożyteczne, a zarazem łagodne i potrzebujące opieki; jeżeli je oswoi i będzie hodował, dadzą mu ciepłą odzież, smaczne pożywienie i niejedną rozrywkę.

Tak, trzeba się tem zająć.

Wiele lat, wiele znowu upłynęło. Chaty nie było jeszcze, ani drzewek zasadzonych, ani domowych zwierząt, ale już teraz zajmie się tem wkrótce, tylko odroczone trochę. Zresztą, skoro się dotąd obszedł bez schronienia, widać, że mu nie było koniecznie potrzebne, ciepło jest, — po owoce miał chodzić daleko, ale nie mógł przecież urządzać ogrodu, póki domu nie by-

ło,—to samo i ze zwierzętami. Teraz to co innego: czuje się osłabionym i pragnie wygody. Tylko odpocznie trochę, zaraz postawi chatę, drzewa posadzi, postara się o kilka owiec i żonę sobie znajdzie, bo chce mieć i dzieci i gospodynię w domu.

Tylko odpocznie trochę.

I czeka, aż odpocznie, ale siły nie wracają, i ruszyć mu się ciężko, i chodzić trudno, gdzie tu myśleć o robocie? A chata z dachem, ze drzwiami, wygodna, bardzoby się przydała? I dobra żona także.— Skądżeby tu sił zdobyć?

Nagle przypomniał sobie o tajemniczym pyłku dyamentowym. Przecież bożek powiedział, że dopóki go posiada, nie potrzebuje obawiać się śmierci i wszystko prawie zdobyć może przy pomocy tego bezcennego skarbu. Może to lekarstwo, co mu wróci siły?

I zaczął szukać woreczka, o którym wcale nie myślał przez te wszystkie lata. Znalazł go wreszcie, ale prawie pusty, cokolwiek pyłku było jeszcze na dnie, ale gdy rozgniewany zaczął wyrzucać bożkowi, że go oszukał takim fałszywym klejnotem, reszta pyłku uleciała, błysnęła w słońcu jak dyamenty i zgasła. A w tej samej chwili człowiek umarł.

I zaraz dusza jego stanęła przed bożkiem, który powiedział surowo:

-- Wstyd mi przyniosłeś; myślałem, że jesteś stworzenie rozumne, które coś po sobie na świecie zostawi i samo szczęśliwym będzie, bo umie rządzić własnym życiem. Miałeś *czas* na to i cóżeś z nim zrobił? Pozwalałeś ulatać marnie jednej chwileczce za drugą i przypomniałeś sobie o nim, kiedy ci już nic nie zostało. I cóżeś zrobił z życiem? Cóżeś zrobił z *czasem*? Zdajże mi teraz rachunek.

Cztery pory roku.



WIOSNA.

Wiosna! wiosna! śliczne czasy,
Zielenią się gęste lasy,
Kwiatek już się ze snu budzi,
Słysząc śpiewy ptasząt, ludzi;
Trzodę pasą się na trawie,
Skacze jagnię po murawie,

Ludzie, ludzie, chwalcie Pana,
Ta nam pora z nieba dana.

L A T O.

Lato, lato, w niem upały,
Kwiatki główki pospuszczały,
I róża się pochylila, —
Ale Pan Bóg deszczyk zsyła,
On się o swe dziatki stara,
Będzie chleba co niemiara.

Ludzie, ludzie, chwalcie Pana,
Ta nam pora z nieba dana.

◁ J E S I E Ń .

Jesień, jesień, czas bogaty,
Już pożółkły liście, kwiaty,
Lecz się za to owoc złoci.
Bóg wielki, pełen dobroci,
Dzieli skarby między dziatki,
Na zimę zsyła dostatki.

Ludzie, ludzie, chwalcie Pana,
I ta pora z nieba dana.

∟ Z I M A .

Zima, zima, ciężkie czasy,
Szronem się okryły lasy,
W białym futrze ziemia chodzi,
Już jej zimno nie zaszkodzi:
Mają owce wełnę swoją,
Ptaszki mrozów się nie boją.

Ludzie, ludzie, chwalcie Pana,
I ta pora z nieba dana.

St. Jackowicz



Dwa pługi.



Ukuł kowal w swej kuźni dwa wyborne pługi,
Obydwa wykończone, jak jeden, tak drugi.
W obu było żelazo dobre, jednakowe,
Jednakowo też lśniły te dwa pługi nowe.
Chłop kupił jeden z pługów i wziął do orania,
Drugi pług kupił bogacz i wziął do schowania.
Pług chłopski krajał skibę i na chleb pracował,
Pług pański, stojąc w śpichrze, gdzieś w kącie próżnował.
W rok potem jaka korzyść dla obu wypadła?
Pierwszy, błyszczał, jak srebro, a drugi rdza zjadła.



Pieśń o Wiśle.



Na Śląskiej ziemi stoi ciemna góra,
Urodziła jej się śliczna Wisła córą.
— Matko, moja matko, puść mię z góralami,
Bo mi jakoś tęskno pomiędzy górami.
Płynie Wisła, płynie, w uroczej dolinie,
Zobaczyła Kraków, pewnie go nie minie,
Zobaczyła Kraków, wnet go pokochała,
I w dowód miłości wstęgą opasała.
Na wysokiej skale stoi zamek stary,
A Wisła mu wiernie dochowuje wiary.

N.



Płynie Wisła, płynie.



Oh! płynie tak dawno, że nikt nie pamięta, kiedy tu przyплыnęła w nasze strony. Może i wcale ludzi tu nie było. I pewno, że nie było. Sama tylko mogłaby opowiedzieć chyba te dawne dzieje,—ale i tego nie wiem, bo przecież te wody, co wówczas w niej płynęły, dawno wpadły w morze, a coraz inne, inne Wisła niesie.

A ona wciąż ta sama. Tę samą ma barwę, ten smak wody, kierunek, szerokość, siłę, obyczaje. Choć wody inne, a rzeka taka sama, bo tem samym płynie korytem; choć ludzie umierają i rodzą się nowi, ten sam zostaje naród.

Ale jak to było, kiedy po raz pierwszy ta złotowłosa pani zaszła w nasze strony, — czy nigdzie tej historyi nie spisano?

Trochę, troszeczkę może i spisano na księdze bardzo starej, o! starszej od Wisły, na ziemi samej. Coś ona wie o tem, może i powie,—popatrzmy uważnie.

Het, het, gdzie to początek naszej pani rzeki, gdzie kolebka, w której się wykołysała? Het, het, w górach, aż na południu. Spłynęła sobie potokiem w dolinę i jak dziecko, nie wie sama, gdzie się zwrócić. I tu pięknie i tu ładnie i tu słonko świeci, więc naprzeciwko niemu, ku wschodowi!

Płynie i myśli: Do słoneczka płynę! Wprost ku niemu. Gdy wstanie z rana, pierwsza je zobacze i pierwsza je powitam,—ta najlepsza droga.

A wtem z za jarów i wzgórz wybiegł szybko San młody i wesoły. Spotkali się nagle i uderzyli mocno, jak to w biegu bywa. Zaszumiało im w głowach, pociemniało w oczach, zakręciło się wszystko, a nazajutrz z rana Wisła spostrzegła, że już nie ku słońcu płynie, ale od niego precz, aż het na północ.

Oburzyła się srodze na psotnika, co jej tak zmylił drogę.

— Ho, mości panku!—zawołała dumnie—nie obrażaj sobie, że nie wiem, co robię, że tam pójdę, gdzie zechcesz. Mam ja swoją wolę i—

— Pani siostró — szepnął San pokornie — jeżeli obraziłem cię, to przebacz, bo nie przez figle zmyliłem ci drogę. Ani wiesz, coby cię musiało spotkać, gdybyś na wschód płynęła dalej. Zapytaj wiatru, jakie tam rzeki ogromne, jakie potężne zagradzają drogę, musiałabyć utonąć w nich bez śladu i nie tam iść, gdzie zechcesz, lecz gdzie cię poniosą. Zapytaj wiatru.

Wiatr, przyjaciel Sanu, zaszumiał długo, tęskno i przeciągle, a Wisła zrozumiała pieśni jego.

Więc cicho płynie na północ i myśli: czy to tam moja droga? Tam, gdzie niema słońca i tylko jedna gwiazda co noc świeci zawsze w tem samym miejscu? Czy tam?

A wtem od wschodu biegnie znowu rzeka, poważna i spokojna, czołem przed nią bije i świeże nurty łączy z Wisły biegiem.

— Witaj, o pani!—woła—i pozwól się ostrzedz.— Na zachód prędko zwracaj wody, bo tam przed tobą

inne płyną rzeki, bo tam nie twoje państwo, tyś im niepotrzebna i zginiesz między niemi bez imienia.

— Acha,—odparła Wisła—ja to przeczuwałam, że to nie moja droga. Dziękuję ci bardzo. Teraz widzę, jak dobrze mieć przyjaciół, co wieści niosą z dala. „Na zachód, na zachód“,—a czy tam moja droga? I widzisz, polubiłam tę gwiazdeczkę, co na północy świeci, bo nie zmienia miejsca. Musi je kochać, musi być szczęśliwa, skoro go nie opuszcza. Więc pójdę na zachód, ale troszeczkę zwrócę się i ku niej.

— O, nie! — zahuczał z dala, nadpływając Bug z Narwią—nie na północ, na zachód, na zachód! Patrz, jak tam wspaniale! Słońce spoczywa w purpurze i złocie,—pół nieba w ogniu każdego wieczora,—gdzie takie blaski znajdziesz? tyle światła? barw tyle, tyle cudów!

I Wisła porwana zapałem Buga, biegnie wraz z nim na zachód; olśniona blaskiem zachodniego nieba, tam widzi drogę swoją, przeznaczenie, i śpieszy, śpieszy.

Aż nagle ziemia sama podniosła się przed nią i rosnąć się zdawała z każdą chwilą, jak gdyby jej tamować chciała drogę. Wisła się wspina, podnosi i wzbiera, lecz ciężko płynąć, coraz ciężej, ciężej.

— O matko-ziemio—szepnęła nakoniec—czemu mi stajesz przeszkodą na drodze, kiedy za słońcem biegnę do jego jasności? Puść mię!

— Nie, Wisło-córko, nie tam twoja droga. Inne tam rzeki płyną, nie walczyć ci z niemi na zgubę. Każdy mieć swoje musi i swojemu służyć;—tu ziemia twoja, a tam droga twoja, ku tej gwiazdce, co świeci co dzień w jednym miejscu. Więc z Bogiem, córko, tu ci wyznaczono państwo, w którym królować będziesz

i odbierać jasną daninę od wszystkich wód jego, aby ją złożyć w morzu. To ukochaj i bądź kochaną.

Spoważniała Wisła na takie wezwanie i już bez oporu zwróciła fale na północ, ku morzu i płynie cicho, spokojnie, szeroko, bo wie, że tu jej wyznaczono pole, bo wie, że tu jej wieczne panowanie, że tu jej świat.

Ale to dawno było, bardzo dawno.



Wisielka.



Toczy Wisła, toczy żółte fale swoje,
Czasem barwę zmienia, jak dziewczyna stroje:
Gdy słońeczko wschodzi, na ziemi pogoda,
Różowymi blaski drży wiślana woda;
Gdy niebo błękitne,—błękitem się śmieje,
A kiedy pochmurne,—i Wisła szarzeje.
Płynie Wisła, płynie, aż do morza płynie,
W morzu fale giną, Wisła nie zaginie.
Pełne zbóż galary na swym grzbiecie niesie,
Dzwoni pieśń flisaków, wtórzy echo w lesie.
Nad Wisielką naszą świecą jasne noce,
Na berlinkach płyną z Kaźmierza owoce,
Jabłuszka rumiane, grusze, śliwki, wiśnie,
Smaczne dary Boże, zrywane umyślnie.
Wisło, matko nasza, a płynże do Gdańska,
Niech flisaków wiedzie święta ręka Pańska!

K. Gliński.



Jak to na Mazowszu.



Oj, śliczna to ziemia, to nasze Mazowsze,
I czystsza tam woda i powietrze zdrowsze —
I sosny roślejsze i dziewczki kraśniejsze,
I ludzie mocniejsi i niebo jaśniejsze:

Gdzie mi tak na świecie kto zagra od ucha?
Gdzie mi się rozśmieje tak rażno dziewczucha?
Gdzie mi pokażecie naszą chatę lichą,
Taki bór szumiący, taką łąkę cichą?

Kędy ja usłyszę tyle ptactwa wrzasku?
Skąd wam modrej Wisły i białego piasku?
Serce moje, serce do tych lasów goni,
Do Wisły, do Wisły, oj tęskno mi do niej!

Szczęśliwe kuliki, szczęśliwe rybitwy,
Co nad nią powietrzne zawodzą gonitwy.

T. Lenartowicz.



Wróbel i czyżyk.



Pytał wróbel czyżyka:—Powiedzcie mi, bracie,
Dlaczego wy inaczej jak wróble ówierkacie?
Tak śmiesznie... tak nieładnie... Oh, radzę ci szczerze,
Niech każdy z was naukę śpiewu od nas bierze.

Boć wiadomo przecie,
Że nad śpiew wróbli nie masz piękniejszego w świecie!

A na to czyżyk odpowie skromnie:

— Co do mnie,

Nie chępię się swym śpiewem, ani innych ganię,
Kto z nas dwóch lepiej śpiewa, to jeszcze pytanie,—
Może śpiewam nieładnie, nie chcę przeczyć temu,
Ale wolę nieładnie, byle po swojemu.

W. Wysocki.



Na okręcie.



Było to bardzo daleko na morzu.

Na dużym statku płynęli Francuzi, Niemcy, Angli-
cy. Pomiedzy nimi był mały Włoch, sierota, chłopczyk
10-letni, ubogi i smutny. Podróżni, patrząc na jego
twarz bladą, litowali się nad nim, a ten i ów nieraz wsu-
nął mu w rękę parę groszy.

Chłopczyk chciwie chował pieniądź do kieszeni,
a twarz jego rozjaśniała się wtedy radością. Nic dziw-
nego: zawsze głodny i obdarty, wiedział, że za pieniądze
może kupić sobie porządniejsze ubranie, smaczniejsze je-
dzenie, że nie umrze z głodu, kiedy wyrzucą go na brzeg,
choćby od razu nie znalazł zajęcia.

Więc też cenił pieniądze, zbierał je, gromadził, cho-
wał starannie i nieraz ukryty w kąciku, rozkładał je
przed sobą i wzrokiem błyszczącym wpatrywał się z ra-
dością w małe, srebrne blaszki.

Raz właśnie tem się bawił, kiedy usłyszał obok roz-
mawiających po włosku podróżnych. Mówili o jego kraju.

— Śliczny kraj!—wołał jeden—co za bogactwo, ziele-
loność! jakie błękitne niebo, jakie góry! jakie gorące i zło-
ciste słońce!

— Tak, piękny kraj, lecz brudny — odparł drugi.
Któż temu winien? Ludzie. Szkaradny naród: głupi,
brudny, nieuczciwy.

— To prawda, wszyscy tutaj oszukują.

— Rabusie i złodzieje.

Nagle grad srebrnych i miedzianych monet spadł na głowę rozmawiających. To mały Włoch rzucił na nich wszystkie pieniądze, jakie mu dawali.

— Nie potrzebuję od was nic! — zawołał. — Weźcie sobie swoje pieniądze. Może i wy jesteście brudni i oszuści.

I ukrył się przed nimi w najdalszy kąt statku.

Według Amicisa.



O j c z y z n a .



Co to ojczyzna? — pytała Juleczka.
A ojciec na to tak odrzekł dziecinie:
— Ojczyzna, Julciu, to jest nasza rzeczka,
Co tam pod lasem cicho sobie płynie,
To te w ogrodzie i kwiaty i drzewa,
To za ogrodem te pszeniczne kłosa,
To ten nasz wietrzyk, co lekko powiewa,
To leśnych ptaków szczebiotliwe głosy,
To łąki nasze, pachnące ziołami,
To nasze piosnki i nasze pacierze,
To piękne niebo, co świeci nad nami,
To wszystko, Julciu, co kochasz tak szczerze.

W. Bęłza.



L i s t.



Kochana mammo! Donoszę Tobie,
Że już dni cztery jestem w Warszawie,
Chodzę na spacer z Babcią i Tata
I doskonale się bawię.
Ileż tu domów pięknych i dużych!
Ani ich z naszym porównać dworkiem!
Jednak nie dalej jak wczoraj, mammo,
Myślałem o nim wieczorkiem.
Byłem w alejach, byłem w ogrodzie,
I most widziałem, co jest na Wiśle,
Czy jest gdzie drugi most taki wielki?
Ej, chyba niema, ja myślę.
Choć tutaj wkoło śliczności tyle,
Choć mi u Babci dobrze, jak w niebie,
Ja, droga mammo, tęsknię w Warszawie
Do naszej wioski, do Ciebie.
Ściskam cię, mammo, po tysiąc razy,
I pocałunki ślę małej Frani,
Powiedz jej, Mammo, że dwie książeczki
Ojczulek przywiezie dla niej.

Or-Or.



Co Staś pisze.



Stasio pisze:

— Bardzo mi tu
Smutno bez was, drogie Bąki!
I bez ciebie, mój Jasiénku,
I bez tej psotnicy Bronki!

Lotem ptaka do was lecieć
Nieraz bierze mię ochota...
Już mi tęskno i do kuca,
I do Burka, i do kota.

Do Broncinej nawet lalki...
Chociaż cóż tam chłopcu lala!
Tak mi wszystko teraz miłe,
Kiedy jestem od was z dala.

Ja tu w szkole siedzieć muszę
Nad książkami przez dzień cały.
Wzdycham tylko, żeby prędzej
Te wakacye już nastaly.

Dopieroż to prysnę sobie
Z szkolnych murów na swobodę!
I powiedzcie Tatusiowi,
Że jak amen—mam nagrodę.

Donieście mi jak najspieszniej,
Czy mój kucyk w stajni stoi?
Czy Białasek, kotek, zawsze
Tak samo się Burka boi?

Czy orzechów na leszczynie
Dużo będzie tego lata?
Czy są w polu kuropatwy?
I czy na nie chodzi Tata?

Pamiętajcie też o szczygłe
I dawajcie mu siemienia.
Całuję was milion razy
Wasz brat

Staś

I do widzenia!

M. Konopnicka.



W obcym kraju.



Hala cieszyła się bardzo, że pojedzie z mamą w lecie za granicę. Za granicę—to znaczy do obcego kraju, gdzie inni mieszkają ludzie i wszystko jest inne. Ogromnie ciekawą była, jak to „wszystko inne“ wygląda i nie mogła doczekać się dnia wyjazdu.

Nakoniec wsiadły obie do wagonu, pociąg ruszył i jada.

Hala z początku wyglądała oknem na szerokie pola, odgródzone od linii kolejowej płotem lub rzędem młodych sosen. Ale wkrótce to ją znudziło: nieraz w życiu już widziała i takie pola i lasy i wzgórza, domki dróżnika i chaty wieśniaków, woli patrzeć na „rzeczy inne“.

Tymczasem noc nadeszła, a nazajutrz rano obudziła się Hala za granicą. Ucieszona, czempredziej zerwała się z ławki i wyjrzała przez okno; ale zobaczyła tylko pole szerokie, zboże, las daleko i linię kolejową, taką samą, jak pod Warszawą.

Bardzo się zadziwiła i już nic nie mówiąc, pozwałała poprawić na sobie sukienkę, umyć się i uczesać. Potem wróciła do okna: może się teraz przecież coś zmieniło?

Nie, — takie same pola, drogi, lasy, domy także podobne.

— Moja mammo, — rzekła — gdyby mię tu kto przeniósł i nic nie powiedział, tobym nigdy nie zgadła, że już jestem za granicą.

Mama się uśmiechnęła.

— Poznałabyś wkrótce — odpowiedziała — bo chociaż kraj nie różni się niczem od twego, ale ludzie tu inni.

Teraz dopiero Hala spojrzała na ludzi, którzy jechali tym samym wagonem. Nie różnili się ubiorem, ale rozmawiali wszyscy językiem obcym, którego nie rozumiała. I było jej to nieprzyjemnie.

I kraj zaczął się zmieniać: pól coraz mniej, a za to coraz częściej góry, mosty, tunele czyli przejazdy pod ziemią, a gdzie trochę równiny, to zaraz ogródek, ładny domek, drzewami otoczony. Podobało się to Hali.

— Bardzo tutaj ładnie, ładniej, niż u nas, mamó — powiedziała.

— To mię cieszy, Halu, gdyż tu wysiadziemy i w takim ładnym domku mieszkać będziemy cały miesiąc.

Rzeczywiście wysiadły na poblizkiej stacyi i stamtąd pojechały do domku na dość wysokiem wzgórzu, gdzie odtąd zamieszkały.

Ładnie tu było bardzo: na wzgórzach dokoła lasy piękne, w nich porządne drogi, napisy i ławeczki, wszędzie odpocząć można, i dziecko nawet nie zabłądzi, jeżeli czytać umie. Koło domku ogródek, potok spada z góry; wszystko się Hali podobało. Dzień cały oglądała z mamą okolicę i wszystko ją bawiło i cieszyło.

— Ładniej tutaj, niż u nas na wsi — powiedziała.

Ale po tygodniu zapytała mamy.

— Czy prędko, matusiu, wrócimy do domu?

— Nie, Halu, jeszcze nieprędko. Ale czy ci źle tutaj? Czy ci kto dokuczył?

— Nikt nie dokuczył mi, mamó, i nic mi nie jest złego, tylko — tak jakoś — lepiej u nas na wsi.

— Przecież tu ładniej.

— Może ładniej, sama nie wiem, bo teraz mi się zdaje, że najładniej u nas. Wolę i las nasz, chociaż bez ławeczek, bo taki jakiś znany, taki mój,—i drzewa nasze lepiej mi się podobają, i pola nasze i nasi żniwiarze, co tam teraz pewno żną zboże; — chciałabym ich zobaczyć choć na chwilę i całą wioskę naszą. Wszystko tam inne, miłsze, takie nasze.

— A wiesz, Halu, dlaczego?

— Nie wiem, mamó.

— Bo tam wszystko kochasz, a tu wszystko ci obce. Tam pamiętasz dom każdy, każde drzewo od lat najdawniejszych, kiedyś patrzeć na świat zaczęła; to twój przyjaciele, wiesz coś o każdym kamieniu, o każdej ścieżce w lesie. A ludzie — Bawisz się tutaj przecież dobrze z dziećmi?

— Bawię się, mamó, ale porozmawiać to z nimi tak nie mogę, jak z naszymi dziećmi, bo ich często nie obchodzi wcale to, co mówię, albo mnie nie rozumieją. A to, co one mówią, mnie też niezawsze zajmuje.

— Więc lepiej między swymi, córeczko, nieprawdaż?

— O, lepiej, mamó.

— To dobrze, że tak czujesz, moje dziecko. Każdy człowiek powinien najbardziej kochać ziemię swoją, miejsce, gdzie się urodził, ludzi, którzy go otaczali od dzieciństwa. I nieraz obce kraje są piękniejsze, a cudzoziemcy rozumni i dobrzy, ale przecież każdemu najlepiej u siebie, pomiędzy swymi. A kto tak nie czuje, tego żałować można tak samo, jak człowieka, który nie ma matki i ojca.





G ó r a l.



Góralu, czy ci nie żal
Odhodzić od stron ojczystych?
Świerkowych lasów i hal,
I tych potoków srebrzystych,
Góralu, czy ci nie żal?

Góral na lasy spoziera,
A łzy rękawem ociera,
I rzekł:—Ha, darmo, kiej trzeba,
Dla chleba, panie, dla chleba!

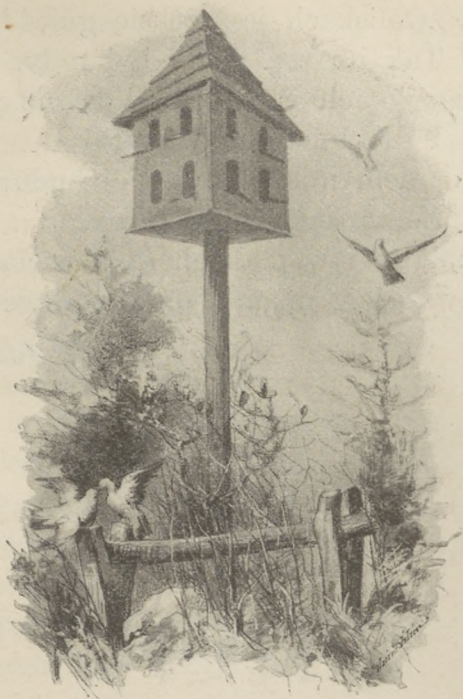
Góralu, wróć się do hal,
W chacie zostali ojcowie,
Gdy od nich pójdiesz w dal,
Co z nimi stanie się, kto wie?
Czyż ci tych starców nie żal?

A góral jak dziecko płacze:
— Och, może ich już nie zobaczę!
Ha, darmo, panie, kiej trzeba,
Dla chleba, panie, dla chleba!

I poszedł z grabiami i kosą,
W guńce starganej i boso,
Precz poszedł w doliny, w dal—
Góralu, żal mi cię, żal.

M. Bałucki.





Gołębnik.



W starym się gołębniku gołębie gnieździły,
Choć niekształtny i szczupły, był im jednak miły,

Bo tam ich karmiły matki,

Tam im się rodziły dziatki.

Właścicielowi przyszło coś do głowy

Wystawić gołębnik nowy.

Gustownie go wybudował,

Z wierzchu i wewnątrz nawet pomalował,

Nasypał ziarna do tej budowy wspaniałej,

Gołębie do starego jednak uciekały.

Gospodarz kazał stary gołębnik rozrzucić.

Zaczęły się bardzo smucić,

Lecz na zwaliskach jeszcze się gnieździły,
Tak im ten kącik był miły.
To wzruszyło ich pana: zebrał dawne szczątki
I dla lubej im pamiątki
W tem samym miejscu i takiej budowy
Ze starego zrobił nowy.
Bo poznał, że i w ptakach są uczucia tkliwe
I że niewszędzie mogą być szczęśliwe.

St. Jachowicz.



S ł o n k o.



Zpoza lasu wyjrzało złotookie słońko i promiennym uśmiechem powitało okolicę. Nie widziało jej kilka godzin, więc powraca, jak ojciec stęskniony do dzieci, niepokojne, czy nie zastanie jakiej szkody i zniszczenia.

Nie, nie, — wszystko się budzi żywe i radosne, wszystko wita je pieśnią: — Jak się masz, słoneczko? Gdzieżeś to było? Coś widziało w krajach dalekich? Witamy cię, witamy! Źle bez ciebie, a z tobą dobrze.

Słońko uśmiecha się tylko wesoło i posyła złociste i ciepłe promienie, co rozjaśniają, ogrzewają wszystko: i kamyk najdrobniejszy i najlichszą trawkę i zziębłego nędzarza pod krzyżem i zdrewniałą muszkę pod listkiem wilgotnym i wszystkim niosą pomoc i pociechę. Tu kwiat-

kom otworzyły zamknięte kielichy, skrzydłom motyla dały świetne barwy, listkom blask i zieloność, ptaszętom wesele, słodycz owocom, dzikim ziołom zapach i przezroczystość chmurce, piękność falom morza, siwy mech nagim skałom, człowiekowi siły i wszystkim sercom radość i nadzieję.

A tymczasem słońce posuwa się dalej, bo tu spełniona praca, i czeka je nowa, bo wszędzie jest potrzebne, nie na jednym miejscu, bo dla niego cały świat zarówno drogi, pustynie, pola śnieżne, gór wierzchołki i urodzajne łąny, ludzie, miasta, kraje wszystkie! Zarówno rybce świeci w morskiej toni, jak schylonemu w pocie czoła żniwiarzowi; słabiuchny owad kąpie się w jego promieniach i bezbronna jaskółka i jastrząb drapieżny, wilk i owca, sierota i człowiek okrutny, dziki Indyanin i kmieć pracowity.

Bo ono nie przychodzi sądzić ani karać, — ono jak dobroć sama, daje tylko; ono śpieszy, posuwa się dalej i dalej, aby żaden zakątek nie był zapomniany, aby wszyscy doznali jego dobrodziejstwa.

Śpiesz, słoneczko, cóżbyśmy poczęli bez ciebie?





Zwickprovine

Słoneczko.



Jakżeś dobre, słonko miłe!
Ty masz dziwną jakąś siłę:
Bo od rana, gdy zaświecisz,
Wszędzie nowe życie niecisz.

Wnet się budzi rój skrzydlaty,
Woń roznoszą liczne kwiaty,
Brzęczą pszczoły, nucą ptaszki
Wśród zabawy i igraszki.

Człowiek, siły mając świeże,
Rano się do pracy bierze,
I dopiero gdy zachodzisz,
Od prac dziennych go odwodzisz.

O gdybyś ty nie świeciło,
Jakżeby tu smutno było!
Nie schodźże nam, nie schodź z nieba,
Bo nam światła, światła trzeba!



Słóńce.



— Słóńce, zaprzestań świecić! Zginę w trudach, w pocie!
Wolał osieł przy robocie.
— O, dzięki ci za ciepło!—rzekł wąż rozciągniony.
A sowa;—Że też niema pod słońcem ochrony!
Co za przebrzydłe światło! Co też to się dzieje?
Ja do reszty ociemnieję!
Polna zaś myszka rzecze:—Bogu, Bogu dzięki
Za słóńeczko z Jego ręki!
I cieszy nas swym blaskiem, i krzepi nadzieją,
Że przy ciepłe i świetle ziarenka dojrzeją.
Słóńce wszystko słyszało, lecz szło sobie dalej,
Nie dbając, czyli je tam kto gani, czy chwali.



Na polu.



W twardem jarzmie, po zagonie
Stąpa siwy wół,
Ciągnie, ciągnie pług błyszczący,
Głowę zwiesił w dół..
Za wołami przygarbiony Idą dróżką dobre dzieci,
Dąży stary kmieć, Zobaczyły pług,
Pług podnosi i kieruje I jak stary zwyczaj każe,
Wola: kso! i heć! Rzekły:—Pomóż Bóg!

N o c.



Anusia miała lat osiem, kiedy po raz pierwszy dosyć późno wieczorem wracała do domu. Dotąd bała się nocy; nieraz patrząc na czarne szyby, myślała sobie, że tam na ulicy strasznie teraz być musi, ale dziś matczka musiała być u babci, nie miała jej przy kim zostawić i wzięła z sobą. Teraz powracają. Anusia mocno trzyma matuchnę za rękę, ale nic jej nie straszno: latarnie się palą i widno na chodnikach, tyle ludzi idzie, jadą dorożki, świecą latarkami, a na niebie gwiazdy takie błyszczące i piękne.

— W nocy też ładnie — mówi Anusia do mamy jeszcze mocniej ściskając ją za rękę — ale lepiej w pokoju

Mama się roześmiała i poprawiła dziewczynce chusteczkę na szyi, bo choć była pogoda, ale zimno, a wiatr ostry i chłodny szczypał jej nos i policzki, aż łzy stawały w oczach.

— Teraz lepiej w pokoju — rzekła mama, — ale w lecie bardzo przyjemnie w nocy na tym Bożym świecie: ciepło, gwiazdy świecą, kwiaty pachną mocniej, niektóre ptaszki śpiewają prześlicznie, a zresztą cicho. Nieraz sobie myślę wtedy, że przyjemniej byłoby spać na dworze, niż w dusznym pokoju.

— To dlaczego ludzie tak nie śpią? — spytała Anusia.

— Bardzo wielu tak sypia, moje dziecko, — na wsi chłopcy na pastwiskach albo przed chatami, w mieście stróże — i biedni, co nie mają domu.

Anusia znowu mocniej ścisnęła mateczkę za rękę i spytała po chwili.

— Dzieci to przecież zawsze mają dom i rodziców?

Przechodziły właśnie alejami i mama zobaczyła na ławce chłopczyka, niewiele co większego od Anusi, który spał skulony, z głową zwieszoną na piersi.

Zatrzymała się mama, pomyślała i obudziła go dotknięciem ręki.

— Wstań, dziecko — rzekła — zimno, zmarzniesz tutaj.

Chłopiec popatrzył na nią, na Anusię, przetarł oczy i krzyknął.

— Kuryer za 4 grosze! Bardzo ciekawy! Ostatnie dwa numery!

— Kupię twoje kuryery, ale idź do domu, bo już późno i zimno. Czy daleko mieszkasz?

Chłopiec się rozśmiał.

— A gdzie jabym mieszkał? Na tej ławce albo na innej. W lecie mieszkania nie trzeba.

— Ale teraz nie lato, możesz zmarznąć,—czy nie masz rodziców?

— Nie—odrzekł chłopiec—kuryery sprzedaję.

— To dobrze, ale w zimie musisz mieć przecież mieszkanie?

— Dawniej to i nie miałem — rzekł chłopczyzna smutnie—raz zmarzłem, aż mię wzięli do szpitala, ale znalazłem Jana, co do matki przychodził, jest stróżem i powiedział, że jak będzie zimno, to pozwoli mi spać w piwnicy. To ci będzie mieszkanie! Ho, ho! takiego to jeszcze nie miałem. Dobranoc pani!

Uklonił się czapką do samej ziemi, skoczył, zagwizdał i zniknął. Mama go zawołała, ale nie usłyszał, biegł prędko, może do Jana.

Anusia nie mówiła już nic podczas drogi, ale gdy znalazła się w czystym łóżeczku, na miękkiej poduszeczce, pod ciepłą kołderką, łązy stały jej w oczach i tak jakoś smutnie spojrzała na mateczkę, tak mocno ścisnęła jej ręce, że mama pochyliła się nad nią troskliwie.

— Czy ci co jest, Anusiu?—zapytała.

— Jabym chciała, mateczko, żeby był taki dom duży, gdzie wszystkie dzieci, które nie mają rodziców, miałyby swoje wygodne łóżeczka i ciepłą pościel w zimie. Czy niema takiego domu?

— Niema jeszcze—szepnęła mama.

— To trzeba wybudować, koniecznie trzeba wybudować, ja oddam na to wszystkie, wszystkie swoje pieniądze.

Mama uściskała serdecznie Anusię i ucałowała na dobranoc.

— Nie zapomnij, córeczko o tem, gdy dorośniesz,— jeżeli więcej dzieci tego samego zapragnie mocno i szczerze, to może kiedyś naprawdę wszystkie sieroty będą miały na noc ciepły pokój i łóżko.



Wieczór.



Wieczór,—cisza,—z pośród zboża
Dwa zajaczki wybiegają.
Naprzód pilnie nasłuchują,
Potem skaczą i igrają.

Tuż kuropatw małe stadko
Gdzie żer znaleźć szuka, bada,
Zbiera ziarna wykruszone
I robaki różne zjada.

Myszka polna, zgrabny chomik
Wychylają z norek głowę
I wychodzą zbierać ziarna
Na zapasy swe zimowe.

Słońko zgasło na zachodzie,
W polach, w łąkach coraz ciszej,
Dzieci w domu spać się kładąc,
Mówią pacierz... Bóg je słyszy.

Or-Ot.



N o c.



W cichą noc, w cichą noc
Strzeże dziatki Boża moc!
Jasna gwiazda, niebios oko,
Na błękicie lśni wysoko
Tam nad lasem, hen...

I w okienko nasze świeci,
Błogosławi dobre dzieci,
Aż je w srebrnej nocy ciszę
Anioł Boży ukołysze
W błogi, błogi sen.

M. Konopnicka.



Anioł Stróż.



Gdy noc już ziemię okrywa,
Blask gasząc zórz,
I gwiazdy rozsiewa drżące,
Po bladym promieniu spływa
Nad dziecię śpiące
Anioł Stróż.

I kiedy to dziecię czyste
Jest jako kwiat,
Obmyty kroplami rosy,
To Anioł skrzydła srebrzyste
Wznosząc w niebiosy
Wyżej nad świat,

Nim w niebo wzleci o zorzy
Wśród światła fal,
Ku ziemi jeszcze się zniża,
Nad dzieckiem zesłaniec Boży
Kreśli znak krzyża
I leci w dal.

Z. Plewińska.



SPIS RZECZY.



	<i>Str.</i>
1. Noc Bożego Narodzenia, W. Belza	5
2. Choinka, Or-Ot	6
3. Śnieżek, M. Keller	8
4. Gwiazdka, C. N.	8
5. Szopka	12
6. Kogo kochać, W. Belza	13
7. Kochajmy się, T. Lenartowicz	14
8. Zmartwienie, C. N.	15
9. Jastrząb, M. Dynowska	18
10. Każdy domku swego strzeże, M. Konopnicka.	20
11. Rodzeństwo, C. N.	21
12. Wśród zimy, Z. Morawska	24
13. Wróbel	24
14. Wróbel na śniegu	26
15. W domu, C. N.	27
16. Pranie, M. Konopnicka	30
17. Pracowita Zosia, Or Ot	31
18. Pracuj sama	32
19. Nie chcę być próżniakiem	32
20. Witka ze złotej wierzby, C. N.	33
21. Żołnierze	37
22. Piosnka żołnierska, M. Konopnicka	38
23. Kłamca	38
24. Kłamstwo, C. N.	39
25. Skrucha Józi, M. Konopnicka	42
26. Lalka Hani, C. N.	43

	<i>Str.</i>
27. Do lalki	46
28. Sposób na lalkę, M. Konopnicka	47
29. Spracowana, N. A.	48
✓ 30. Bajka o szybee, L. Jaholkowska	54
31. W noc zimową, K. Gliński	54
32. Po śniegu	54
33. Dworek, W. Bełza	55
34. Krakowiak ludowy	56
35. Śnieżka, według Amicisa	57
36. Broniek, " "	60
37. Witaj, wiosenko, K. Lewandowska	<u>62</u>
38. Do wiosny, Wł. Anczyce	63
39. Wiosna, Z. Plewińska	64
40. Piosnka wiosenna, Z. Plewińska.	64
41. Pan Bocian, C. N.	65
42. Rozmowa z Boćkiem, Or-Ot	66
43. Koguty	68
44. Mała gospoia	69
45. Żarcik, C. N.	70
✓ 46. Burek, M. Dynowska	74
47. Wojna	75
48. Do jaskółki	76
49. O ptaszkach	77
50. Sierota, C. N.	78
51. Sierota	79
52. Łzy nieużyteczne	81
53. Praca	82
54. Pszczółka	82
55. Dziadunio, C. N.	83
56. Dziadek, M. Konopnicka	84
57. Dalej w pole, J. Chrząszczewska	85
58. Sprzeczka, C. N.	86
59. Franuś, St. Jachowicz	87
60. Pies i krowa.	88
61. Podanie o skowronku	89
62. Na grobach, C. N.	90
63. Wielkanoc, M. Konopnicka	92

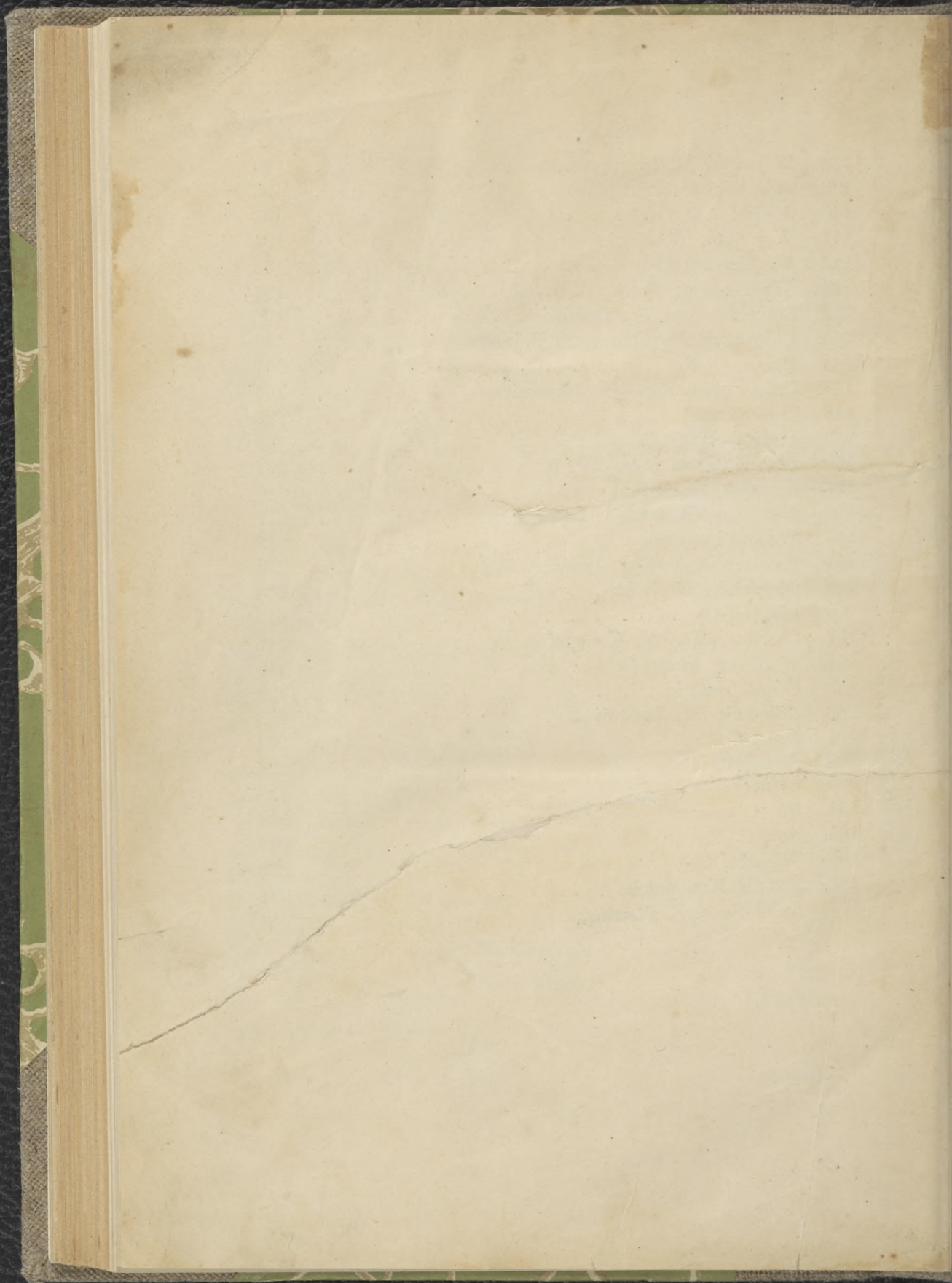
	<i>Str.</i>
64. Dziecko i ptaszek, J. Chrzęszczewska.	93
65. Krakowiak, E. Wasilewski	94
66. Siwek, C. N.	95
67. Konik	98
68. Nasz koniczek, M. Konopnicka	98
69. Sianokosy, S. Patek	99
70. Szaruta, C. N.	100
71. Zajaczek, M. Dynowska	103
72. Mruczek	104
73. Mysz i kot, I. Krasicki	105
74. Stara lipa, C. N.	106
75. Słowik, K. Gliński	109
76. Lew, C. N.	110
77. Złośliwy chłopiec, Wł. Anczyce	111
78. Uciekł...	112
79. Czyżyk w klatce, I. Krasicki.	112
80. Motyl	113
81. Skarbonka, C. N.	113
82. Miłosierny Stasio, Anczyce	116
83. Brat i siostra, M. Konopnicka	117
84. Dobra rada, lepszy czyn, C. N.	118
85. Jałmużna myśli, M. Konopnicka	119
86. Nad strumykiem, K. Lewandowska	120
87. Chłopczyk i kotek	121
88. Jutro, L. Niemojowski	121
89. Złe żarty, według Amicisa	122
90. Kosiarze, I. R.	124
91. Szkoła	126
92. Kto silniejszy, C. N.	127
93. Skała i kropla, St. Jachowicz.	131
94. Ranek na wsi, T. Lenartowicz	131
95. Lato	132
96. Wojtuś, M. J. Zaleska	132
97. Pszczółka i gołąb, St. Jachowicz.	136
98. O świcie, Z. Plewińska	137
99. Nie wstydź się pracy	138
100. Szewczak, C. N.	137

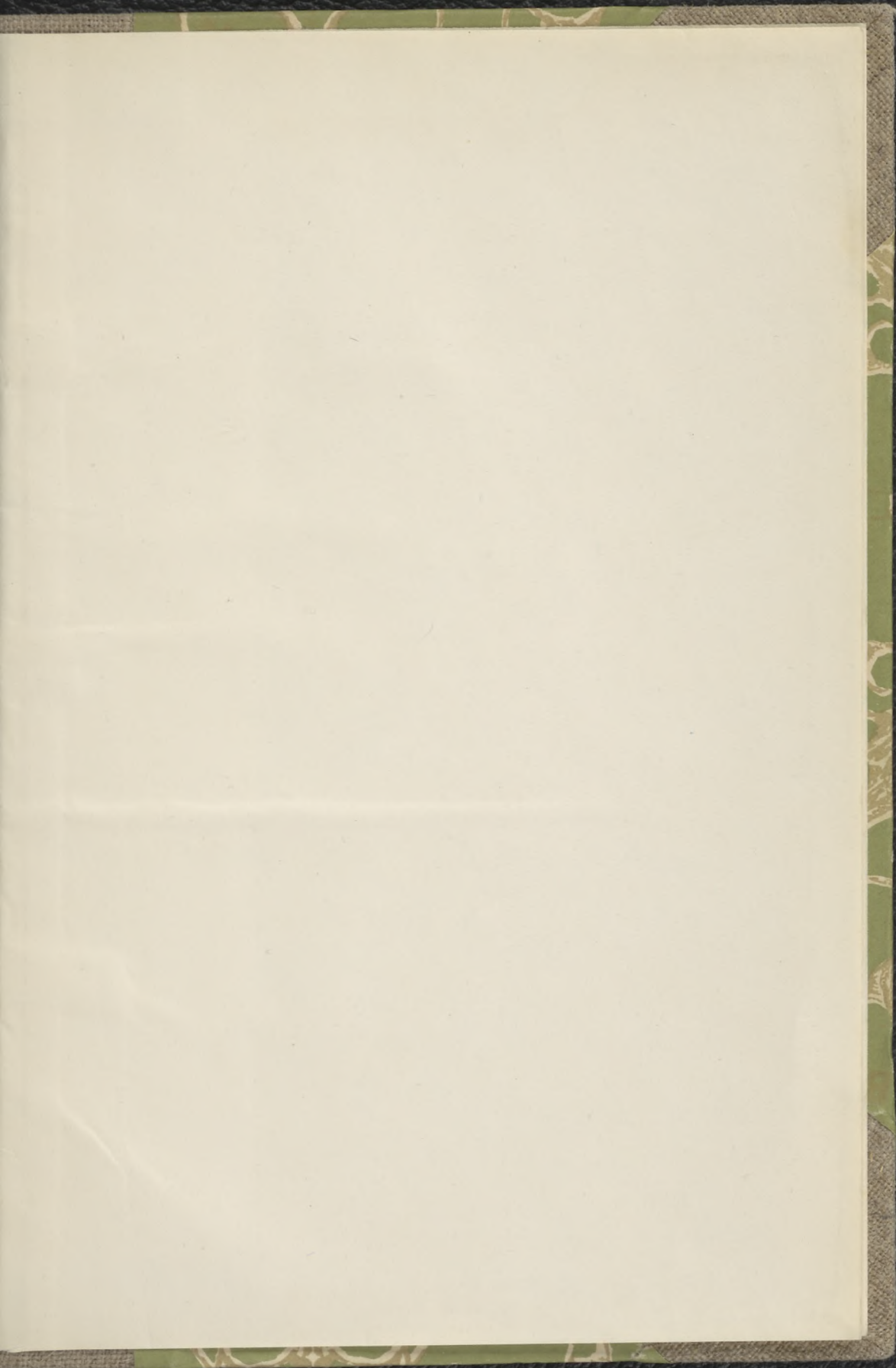
	<i>Str.</i>
101. Woreczek i skarbonka, St. Jachowicz	141
102. Pieśń kowala	142
103. Pieśń piaskarza M. D.	143
104. Szyszka i grzyb	144
105. Dudek, czyżyk i słowik.	145
106. Mały bohater, według Amicisa	145
107. Strażacy, L. Jahołkowska	147
108. Dziełny chłopiec, Z. Mrozowicka	148
109. Braciszkwowie, K. Kamieńska	149
110. Mała zniwiarka, C. N.	150
111. Przodownica, J. W.	153
112. Dziewczyna, T. Lenartowicz	154
113. Pszczółka, W. Anezye	155
114. Psotnik, C. N.	156
115. Psotnik	158
116. Czyja wina? K. Gliński	159
117. Wolność, Tomku, w swoim domku, A. Fredro	160
118. Kłopoty kury, M. Dynowska	161
119. Odwaga, C. N.	162
120. Stefek Burezymucha, M. Konopnicka	166
121. Mały strzelec	168
122. Polowanie, Or-Ot	169
123. Do lasu	170
124. W lesie J. Warnkówna.	171
125. W lesie, C. N.	172
126. Jagoda, Lenartowicz	175
127. Jagódki, St. Jachowicz	177
128. Na jagodach, E. L.	177
129. Śpiochy, C. N.	179
130. Zagadka, M. Dynowska	181
131. Młoda wiewiórka	182
132. Wiewiórka i małpa, Jachowicz	183
133. Rabuś, C. N.	184
134. Wilk, K. Gliński	185
135. Złapana myszka, Wł. Belza	187
136. Myszki, Bożenna	188
137. Lis i kurka	189

	<i>Str.</i>
138. W jesieni, C. N.	190
139. Odlot skowronka C. N.	193
140. Jesień	193
141. W jesieni, W. Strokowa	194
142. Wiejska muzyka	195
143. Nieszczęśliwy Bolek, C. N.	196
144. Pszczoła i osa, St. Jachowicz.	198
145. Chłopczyk i wróbelek, H. Bojarska	199
146. Bajka, C. N.	201
147. Cztery pory roku, St. Jachowicz	204
148. Dwa pługi	206
149. Pieśń o Wiśle, N.	206
150. Płynię, Wisła płynię, C. N.	207
151. Wisiełka, K. Gliński	210
152. Jak to na Mazowszu, Lenartowicz.	211
153. Wróbel i czyżyk	212
154. Na okręcie, według Amicisa	213
155. Ojczyzna, Wł. Bełza	214
156. List, Or-Ot	215
157. Co Staś pisze, M. Konopnicka	216
158. W obcym kraju. C. N.	218
159. Góral, Bałucki	222
160. Gołębnik, St. Jachowicz.	223
161. Słonko, C. N.	224
162. Słoneczko	226
163. Słońce	228
164. Na polu	228
165. Noc, C. N.	229
166. Wieczór, Or-Ot.	232
167. Noc, M. Konopnicka	233
168. Anioł Stróż, Z. Plewińska	234

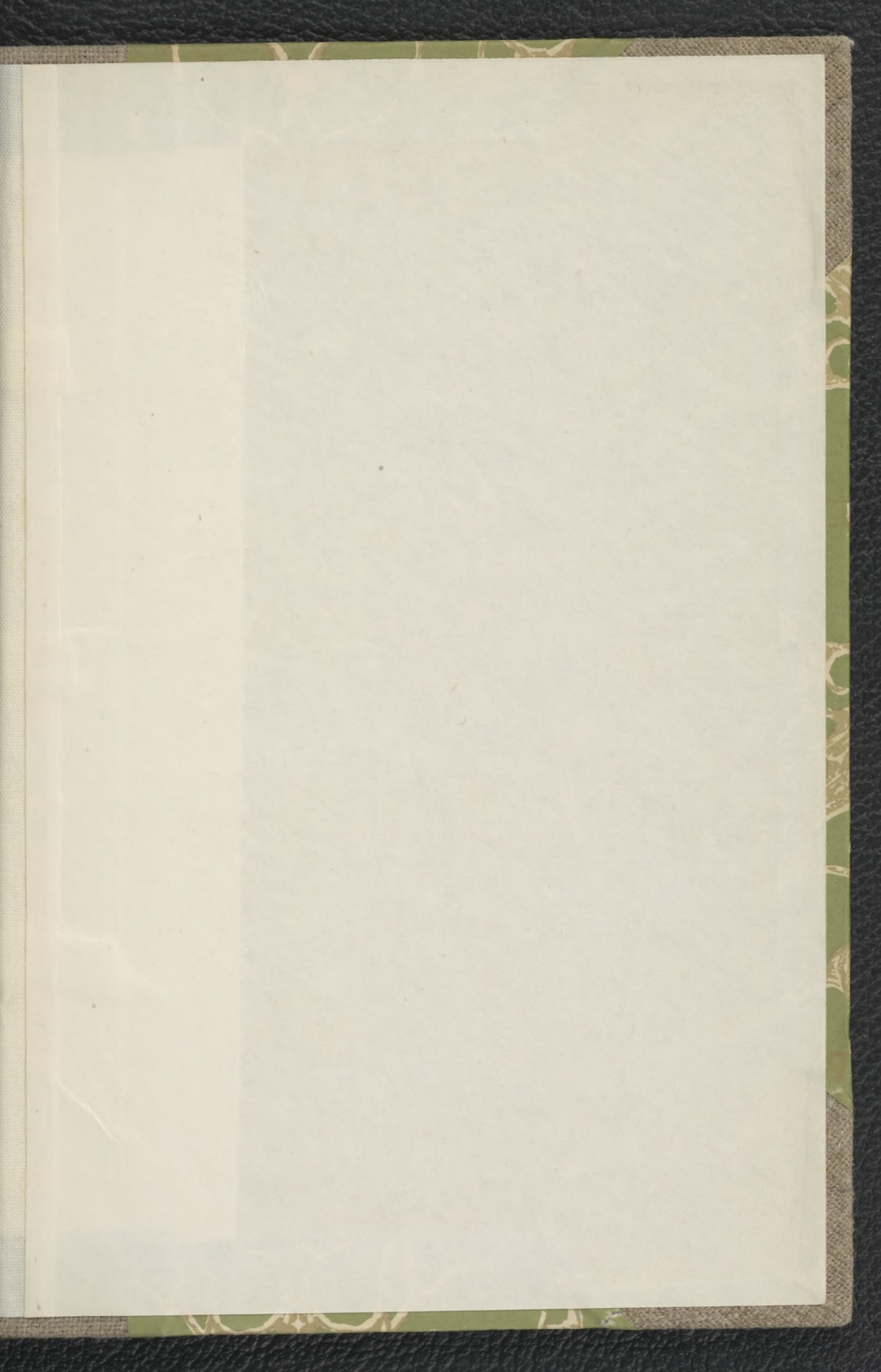


Autyglaw. Naile.
Kriolaw 27. XI 29











1049409

